Nr. 23. Poznań, Niedziela 9 czerwca 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy

Przedpłata kwartalna wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TRESC.

Z najnowszych dziejów Szląska,

napisał

Szlązak.

I.

Korespondencye ks. Kamieńskiego zamieszczone w „Przeglądzie“, a torujace drogę wręcz fałszywej opinii o stosunkach górnoszląskich, skłoniły i mnie do zabrania głosu. Godząc się najzupełniej na to, co odpowiedziała Redakcya „Przeglądu“ na ogólnikowe twierdzenia korespondenta, pragnę i ja dorzucić trochę światła do poruszonych przez niego kwestyi, a sądzę, że mam pewne prawo do odezwania się w tej sprawie, ponieważ od lat wielu stoję w samym środku wiru bojowego i mogę o sobie powiedzieć, że znam cały organizm szląskiego ludu i szląskich stosunków.

Ks. Kamieński wspomniał mimochodem o wyborach w Raciborskiem i zaczepił ostro ówczesnych przewodników ruchu raciborskiego. Otóż to właśnie przywiodło mi na pamięć ową wzniosłą chwilę elementarnego porwania się ludu górnoszląskiego przeciwko hamującej wszelki zdrowy rozwój narodowy na Górnym Szląsku partyi Centrum, ową chwilę, którąby mogła była stać się zaraniem lepszej dla nas przyszłości, gdyby tak Wielkopolanie jak i nasi przewodnicy ówcześni byli umieli skorzystać z niej należycie. Niestety stare nasze przysłowie, że mądry Polak po szkodzie, i tu się sprawdziło. Już to jest jedną z najsłabszych stron naszych, że właśnie w takich ważnych chwilach przełomu poradzić sobie nie potrafimy, że zwykle właśnie w takich momentach sami wytwarzamy sytuacyę, która wręcz uniemożliwia naprawę bytu naszego.

Tak było i w roku 1893, podczas pamiętnych wyborów do parlamentu niemieckiego.

Sądzę, że sprawa ta nie jest Czytelnikom „Przeglądu“ znaną należycie. Pisma wasze codzienne notowały wprawdzie dość często epizody i epizodziki walki, jaką wtedy toczyliśmy, powtarzały także głosy prasy naszej, ale z urywków tych, wobec notorycznej u Was nieznajomości stosunków szląskich, czytelnicy pism wielkopolskich o faktycznym stanie rzeczy poinformować się nie mogli. Dla tego i ja, zanim przystąpię do szczegółowego skreślenia dziejów tej chwili ważnej, wpierw rzucę okiem wstecz i dam wam krótki pogląd na początki odrodzenia naszego, bo tylko znając przeszłość naszą, wypadki z roku 1893 dobrze zrozumieć zdołacie.

Jest to pewnie wogóle rzadki w życiu narodów objaw, że naród sam, dobrowolnie, dla wątpliwych korzyści w innych stronach, wydał na pastwę nieprzyjaciołom swoim znaczny odłam własnego ciała narodowego, a jeszcze dziwniejszym jest objaw, iż odłam ten traktowano przez wiele wieków prawie wrogo, że ani palca nie wyciągnięto w celu odzyskania go, że zerwano z nim zupełnie wszelką, duchową nawet łączność, że wreszcie dzisiaj, gdy odłam ten sam budzi się do narodowego życia i wyciąga ręce do macierzy, macierz ta okazuje mu obojętność pewną.

Większa część wykształconej publiczności polskiej zna zapewne stosunki włoskie i francuzkie, a może i afrykańskie lepiej daleko, niż stosunki górnoszląskie.

Już to wadą polską pewnie najgorszą była i będzie nasza powierzchowność. Czasem zaprawdę zdawać by się mogło, że umysł polski do głębszego wnikania w zawiłe stosunki absolutnie jest niezdolny. Decydujemy nieraz w ważnych chwilach o losach całego narodu, o przyszłości naszej z taką lekkomyślnością, z takim brakiem zastanowienia się, że jednostkom rozważniejszym serce pęka i gorycz duszę zalewa.

Wybaczcie, że odbiegłem od tematu mego, ale powyższe słowa mimowoli mi się wyrwały, na myśl, że muszę, — chcąc być zrozumianym i sprawie się przysłużyć, wpierw informować o tem, coby powinno już oddawna być jednym z pierwszych rozdziałów naszego historycznego katechizmu narodowego. Nie gniewajcie się na mnie za cierpkie słowa moje, miejcie na względzie to, że odzywam się do Was, braci rodzonych, jako jeden z tych, których wasi praojcowie sami zaprzedali obcym w niewolę.

Ale przystąpmy do rzeczy.

Z wielkiej dzielnicy Szląskiej, dawniej rdzennie polskiej, nawet w zamierzchłych dziejach Staropolską nazwanej, polską pozostała dziś już tylko pewna część Szląska górnego, czyli obwodu rejencyi opolskiej. W początkach bieżącego wieku język polski sięgał jeszcze poza Wrocław, dziś wszystko tam, może z małemi tylko wyjątkami, zniemczone. Przyczyniło się do tego niemało importowane z Niemiec i ludowi polskiemu w siedemnastym wieku narzucone wyznanie luterskie, które pod względem wyznaniowo-kościelnym przykuło go do Niemiec. I rzeczywiście cudem tylko ocalało kilka powiatów, n. p. *sycowski, namysłowski, niemodliński, kluczborski*, ale pociechy ztąd nie ma wielkiej, ponieważ ludność ta protestancka i dziś jeszcze powoli ale stale się wynaradawia. Naturalna rzecz, że do chat, gdzie obok portretu Lutra wisi portret króla pruskiego, nietylko jako monarchę czczonego, ale głównie jako głowę kościoła, — niemczyzna łatwiejszy ma dostęp, aniżeli do chat ludu katolickiego, którego wiara w inną wskazuje stronę.

Polskim w całem znaczeniu tego słowa pozostał więc już tylko katolicki lud *górnoszląski*, a mianowicie w powiatach: *opolskim, strzeleckim, bytomskim, tarnogórskim, katowickim, pszczynskim zaberskim, gliwickim, rybnickim, kozielskim*, oraz częściowo w *prudnickim i raciborskim*. Wymieniam te dwa powiaty, które wypadkami politycznemi w ostatnim czasie stały się głośne i o które wasz korespondent zawadził, na ostatku, nie dla geograficznego ich położenia, lecz dla tego, ponieważ, co zapewne ogromnej większości czytelników waszych obcem będzie, procent ludności polskiej w nich najmniejszy. W powiecie *prudnickim* ludność niemiecka, osiadła tam od kilku wieków, i ludność z biegiem lat zniemczona dorównuje prawie co do liczby ludności polskiej. W powiecie *raciborskim* znów mieszka co prawda blisko 90 procent *Słowian*, ale blisko połowę stanowią *Morawianie*, lud wielce zaniedbany tak pod względem oświaty, jak i moralnie. Czesi austryaccy wcale o tych braci swych się nie troszczą, zaś *polskich* gazet Morawianie nie rozumieją i dla tego ich nie czytują; przy dość silnej zatem germanizacyi przez Kościół, nie mówiąc już o germanizacyi urzędowej szybko się niemczą i pewnie niezadługo już utoną w morzu niemczyzny, jeźli jakie nieprzewidziane nie zajdą wypadki. Tu i owdzie tylko napotkać można Morawianina, łaknącego oświaty i czerpiącego ją z gazety *polskiej*, przeważnie z „*Nowin Raciborskich*“. Ale są to wyjątki bardzo, bardzo rzadkie, pozostające bez wpływu na ogół ludności morawskiej. W roku 1893, gdy się okazało przy wyborach do parlamentu, że stronnictwo Centrum bez pomocy polskiego ludu o własnych siłach w powiecie raciborskim kandydata swego przeprowadzić nie zdoła i gdy na chwilę panowała wątpliwość, czy lud morawski przypadkowo, instynktownie nie stanie jednak po stronie polskiej, zaczęli księża niemiecko-morawscy wydawać w Raciborzu pismo morawskie, pod tytułem: „Katolicke Nowiny“. Ale pismo to, redagowane zresztą w duchu centrowo-niemieckim, nie zdobyło sobie znaczniejszego zastępu czytelników, ponieważ lud morawski nie ma zrozumienia dla spraw politycznych. Lud morawski nie stanął też po stronie polskiej, bo w swym indyferentyźmie nie pojmował wcale, o co chodzi, o co lud polski walkę toczy, chociaż ze strony polskiej nie brakło starań, aby go objaśnić. Szedł więc ślepo za głosem niemieckich swych duszpasterzy i jemu głównie kandydat centrowy za-

wdzięczał zwycięztwo, — o czem później jeszcze obszernie pomówię.

Wróćmy tymczasem do ludu polskiego. Jest go razem w wymienionych powiatach przeszło milion. Dokładnie liczba ta nie da się oznaczyć, bo statystyce urzędowej, jak wiadomo, pod tym względem ufać zbytnio nie można, gdyż zalicza ona każdego Polaka z niemieckiem lub z niemiecka brzmiącem nazwiskiem, nadto wszystkich urzędników etc. do narodowości niemieckiej. Statystyka urzędowa podaje liczbę Polaków na Szląsku zamieszkałych na ca. 990 tysięcy głów.

Jakim sposobem ten stosunkowo zawsze jeszcze wielki odłam ludu polskiego ocalał przed zalewem germanizacyi? Otóż złożyło się na to zapewne niemało czynników. Nasamprzód to, że Szląsk górny najdalej oddalony był od krajów dawniej już zniemczonych, n. p. od Saksonii dzisiejszej i Marchii Brandenburgskiej. Powtóre mniejszy zapewne stosunkowo napływ kolonistów niemieckich, niż na Szląsku dolnym. Szląsk górny rozciągający się przeważnie po prawej stronie Odry, to kraj niezbyt urodzajny, który w dawniejszych wiekach ogromnemi pokryty był lasami. Skarbów ukrytych w ziemi, z wyjątkiem może srebra, nie znano wówczas jeszcze, a ziemia sama ani położenie nie nęciły obcych przybyszów. Trzymali się oni żyźniejszego lewego brzegu Odry i bliskości gór, i na tym brzegu dotarli daleko, bo aż za *Głubczyce* i *Karniów*. Ta kolonizacya podnóża Karkonoszy, Sudetów i części Beskidów była krokiem politycznie bardzo mądrym, ponieważ rozdzieliła szerokim pasem na przestrzeni mil kilkudziesięciu dwa pobratymcze narody: Czechów i Polaków. Jednakże i ta kolonizacya nie była tak silna, iżby mogła była wpływać na dalsze okolice i nie mięszała się też wcale z tubylcami. Inne okolice Górnego Szląska, z wyjątkiem miast, pozostały wolne od napływu niemczyzny.

Dalej przyczyniła się zapewne do utrzymania polskości górnoszląskiego ludu religia katolicka, która właśnie w napływowej ludności niemieckiej okolic dolno-szląskich, już w początkach siedemnastego wieku po większej części sprotestantyzowanej, najzaciętszego miała wroga. Nie należy zresztą zapominać, że znaczna część Górnego Szląska, należała jeszcze do początku bieżącego stulecia do *dyecezyi krakowskiej.* Wielu wtedy kapłanów górnoszląskich kształciło się w Krakowie, gdzie naturalnie nie uczyło się germanizować. Jakkolwiek okoliczność ta dziwnym sposobem nie przyczyniła się do większego zbliżenia się ludu górno-szląskiego do ówczesnej Polski, ani nawet do złagodzenia nieszczególnego wyobrażenia, jakie lud górnoszląski miał o Polsce i o Polakach, — tak z drugiej strony wpłynęła korzystnie na utrzymanie języka ludu w względnie dość wielkiej czystości. Kraków sam, pełen kościołów, klasztorów, duchowieństwa, wywierał wielki pociąg na religijnie usposobionych Górnoszlązaków, na czem również język ludu źle nie wychodził. Nie brakło pewnie i innych przyczyn, na pozór mniej znaczących, ale za to głębiej sięgających do serca i umysłu ludu, dość, że Górny Szląsk pozostał polskim do ostatniej chwili i że potrzeba było tylko lekkiego podmuchu, aby iskrę polskości zamienić w płomień szeroki.

Bo, że Górny Szląsk jest dzisiaj polskim i że obok więcej tradycyjnego niż rozumowego przywiązania do mowy polskiej budzić się zaczyna coraz bardziej także poczucie narodowe, to rzecz pewna. Z tym faktem rząd pruski już się pogodzić musi, i może być przekonanym, że wszelkie środki zmierzające do gwałtownej i przyspieszonej germanizacyi tylko wręcz przeciwne skutki wywierać będą. Z drugiej jednakże strony mylą się i ci z pośród nas, którzy sądzą, że poczucie narodowe ludu górnoszląskiego jest najzupełniej takie samo, jak poczucie narodowe, ożywiające serca Polaków poznańskich Często bardzo słyszałem z ust ludzi, którzy przybyli z innych dzielnic po raz pierwszy, i przypadkowo uczestniczyli w jakiem zebraniu politycznem ludu górnoszląskiego, wyrazy rozczarowania, zdanie, że to jednak jeszcze „*niewyrobieni*“ *Polacy*, że duch nasz nie jest szczerze i prawdziwie polskim, że już zanadto zatruty jest obczyzną. *Pozornie* mogłoby to spostrzeżenie wydawać się słusznem zupełnie. Sześciowiekowe odłączenie od macierzy zmieniło zupełnie fizyonomią szląskiego ludu polskiego i nie pozostało bez wpływu na jego myśli i uczucia, a nawet na zewnętrzną stronę, na strój i twarze nasze. Z wyjątkiem Rozbarka pod Bytomiem, gdzie jeszcze utrzymały się stroje ludowe (jakkolwiek pewnie nie pierwotnie polskie), — sukmany chłopskiej napróżno byś u nas szukał. Chłop nasz i pod tym względem rychlej niż u was „cywilizować“ się zaczął — zmienił strój, a ze strojem i sposób myślenia. Lecz ważny to moment w życiu naszem, — skończę dziś na tem, a obszerniej rozwiodę się o nim w następnym artykule.

POLITYKA.

Walka „Koła polskiego“ z społeczeństwem.

Żywiej niż kiedykolwiek ozwała się w najświeższym czasie sporna kwestya stosunku posłów naszych do społeczeństwa. Naród bowiem poczuwał się do obowiązku przypomnieć wybrańcom i mandataryuszom swoim, że pod żadnym warunkiem przyznać im nie może przywileju niezawisłości, — zwolnić ich z obowiązku liczenia się z opinją wyborców i składania rachunków przed tymi, w imieniu których przemawiają z trybuny sejmowej i parlamentarnej. Historja projektu wojskowego, ustawy przewrotowej i referatów z uchwał i głosowań Koła wysunęła trzykrotnie tendencyą zupełnego odgraniczenia posłów od społeczeństwa. Powiedziano nam pośrednio i bezpośrednio, że polscy deputowani mają prawo uważać się za rodzaj politycznej ambasady w Berlinie, zaopatrzonej w „*plain pouvoir*“ działania, nie zobowiązanej do żadnych względów na życzenia ogółu, nie składającej żadnych rachunków społeczeństwu i liczącej się co najwyżej z dyrektywą tej potężnej, choć nieuchwytnej, ręki, której przędzę polityczną, otoczoną mgłą i dymem kadzideł, odgadujemy od pewnego czasu w wszystkich zakątkach życia publicznego. I powiedziano nam dalej, że Koło polskie utraciło wprawdzie w szerokiej rzeszy wyborców aureolę popularności, ale, że strata taka jest tylko dowodem politycznej trzeźwości, której tłum szeroki nie hołduje nigdy. A gdy wołania i skargi społeczeństwa rozbrzmiewały w całym zaborze pruskim coraz energiczniej i coraz groźniej. wtedy pouczono nas, że trudno z Poznania sądzić o Berlinie, że politykę jedynie w stolicy prowadzić można, że są tysiące motywów subtelnych i splątanych intryg, których z daleka zgłębić i wyzyskać niepodobno, że wreszcie urzędowa komunikacya między Kołem a społeczeństwem byłaby śmiertelnem grzechem w dziejach dyplomacyi. Naród słuchał w zdziwieniu tych ogólników mistycznych wywierających zrazu wrażenie tajemniczej potęgi ducha i jakiegoś politycznego czarnoksięstwa, a w rzeczy samej pustych i przedstawiających jedynie wartość lśnącej dekoracyi odwracającej uwagę od jądra spornych zagadnień. Frazes jednak posiada tę właściwość, że błyska i ginie, że olśniewa na chwilę tylko i opozycyę może stłumić i powstrzymać, lecz nie zabja jej

---

Władysław Rabski.

ZWYCIĘŻONY.

Dramat w 4 aktach.

(*Dokończenie.*)

Scena IV.

Wolski, Wisłowski, Kostecki.

(*Długa chwila milczenia.*)

WISŁOWSKI.

Jest to ostatnia wizyta, którą w domu pańskim składamy. Jako założyciel Trybuny mam obowiązek czuwać nad jej losem. Panu odstąpiłem to dziecko moje bezinteresownie, a tyś je na manowce sprowadził i wrogom zaprzedał.

WOLSKI.

Dość!... proszę was...

WISŁOWSKI.

Tam przed redakcyą tłum przeciwników święci tryumfy Wareckich, a my szyderstwem ścigani opuszczamy plac bitwy. To pańskie dzieło. Prawem naszem między lud zawiedziony cisnąć zdrajcy nazwisko, a chociaż kłam zadasz, — lud nie tobie, ale nam uwierzy.

WOLSKI.

Mordujcie!

WISŁOWSKI.

Skrzywdziłeś nas, lecz my kamieniem za kamień płacić nie chcemy, bo dłoń twoja długo była uczciwą i czystą. Ocalimy przed pręgierzem pana, — jest jednak jeden warunek. Złożysz pan natychmiast redakcyę Trybuny w ręce pana Kosteckiego i miasto nasze opuścisz. O cenę mniejsza! Dla sprawy publicznej gotów jestem najwyższą poświęcić.

(*Chwila milczenia.*)

KOSTECKI.

Pan się namyślasz? Sądzę, że wybór jest łatwy, bo w razie odmowy obok starej powstanie nowa Trybuna. I choćbyś tysiąc razy skrył się pod zasłoną tych niemych popiołów (*wskazuje na kominek*), nasz bicz cię dosięgnie. Lud ufał Wolskiemu, ale mąż Wareckiej paść musi pod ciosem oskarżeń. Rozważ to dobrze! Fałsz nie zwycięży u ludu, choć dokumenty spalone i jasnych nie ma dowodów. Zresztą hrabiowskiemu szwagrowi nie do twarzy z demokratyczną Trybuną.

WOLSKI.

Ani słowa więcej! Rana tak piecze... wy ją szyderstwem nie palcie. Warunek był już przyjęty, zanim jeszcze został stawiony. Akt urzędowy znajdziecie u notarjusza. Trybuna — wasza!

WISŁOWSKI.

A cena?

WOLSKI (*z oburzeniem*).

Panie Wisłowski! (*hamując się*) Lecz prawda, ja nie mam prawa na nic się dzisiaj uskarżać.

WISŁOWSKI.

Trybuna to kapitał, a my darowizny nie chcemy.

WOLSKI.

O! panie Wisłowski. Odstępując mi niegdyś Trybunę, nie żądałeś złota, tylko wierności i przywiązania. Dziś to wszystko zdeptane nogami. Weźcie Trybunę, kochajcie ją całą duszą i niechaj żyje szczęśliwa... A nie złorzeczcie mi... Bo gdybyście posłuchać mogli tragedyi serca ludzkiego, gdzie uczucia jak dzikie zwierzęta szamocą się i pożerają, to każde słowo klątwy w łzę by się zmieniło.

KOSTECKI.

Żal mi cię, Zygmuncie, ale wiara w ciebie stracona i sztandar nasz chwieje się w rękach omdlałych.

WOLSKI (*głucho*).

Tak... dobrze... Już się stało...

(*Słychać dzwonek w przedpokoju.*)

WISŁOWSKI.

A zatem rzecz skończona. Inaczej być nie może.

(*Za sceną słychać głos Marty:* Ojciec! Karol!)

nigdy. To też protest społeczeństwa przeciw „Kołu polskiemu“ cichnął wprawdzie od czasu do czasu, lecz następnie z podwójną siłą znowu się pojawiał, a dziś jest tak potężny, tak namiętnie uderza w zatarasowane bramy Koła polskiego, że jeżeli posłowie nie zdecydują się białej wywiesić chorągwi i przyjąć punktów pokoju, które im naród dyktuje, wtedy ta twierdza wraz z obrońcami swojemi w proch runąć może przy najbliższych wyborach.

Dziś jednak Koło nie myśli jeszcze o kapitulacyi, a znamiennym objawem tej odporności w walce z społeczeństwem polskiem jest odpowiedź posłów do sejmu pruskiego na rezolucyą poznańską, żądającą zerwania z dotychczasową zasadą bezwzględnej tajności obrad i uchwał. Koło sejmowe zasłoniło się, jak wiadomo, szeregiem motywów zredagowanych w dniu 27 listopada 1879 r. w których wyraźnie oświadcza, że „nie może i nie chce tworzyć urzędowego biura korespondencyjnego dla publicystyki“, że „powołanie się na przykład Koła sejmowego w Wiedniu“ uważa za niesłuszne (dla czego? Prosimy o bliższe uzasadnienie), że „dyskrecya“ jest nieodzownym warunkiem polityki i t. d. Po za temi ogólnikami znajdujemy w owej rezolucyi z przed 16 laty jeden ustęp, który wywiera wrażenie pewnej koncesyi, w istocie jednak jest znowu tylko świecidełkiem zręcznie przypiętem, a kryjącem niewzruszoną zasadą bezwzględnej tajności.

Ustęp ten brzmi:

„Koło same, ilekroć tego zachodzi potrzeba, uchwały swoje publikuje w sposób urzędowy z podpisem bióra swego, a nie zabrania członkom udzielania wiadomości o czynnościach i zapadłych uchwałach na własną odpowiedzialność za treść i formę“.

Cel powyższego oświadczenia jest jasny. Ma ono podziałać na wyborców jak proszek uspakajający, — jest słodką obietnicą komunikacyi między Kołem a społeczeństwem, — zawiera jakąś nieokreśloną zapowiedź złamania praktyk dotychczasowych, a w rzeczy samej nie mieści w sobie żadnego Imperatywu, żadnego zobowiązania, żadnego ściślej oznaczonego ustępstwa. Wartość owej uchwały Koła sejmowego ujawnia się najwyraźniej w zwierciadle 16 letniej polityki naszej. Chcąc ją sprawiedliwie ocenić, należy zapytać, jak Koło polskie słowa swoje przetłomaczyło na język czynów, czy owa pozorna „*względność*“ tajemnicy nie okazała się w praktyce „*bezwzględną* tajnością“, czy obietnice dyskretne, zawarte w rezolucyi, spełniono i jak je spełniono? Na wszystkie te pytania odpowiada nam zwierciadło szesnastoletniego życia w sposób wręcz negatywny. Koło polskie nie publikowało żadnych uchwał i żadnych rezultatów głosowań swoich, a korespondencya jego z społeczeństwem ograniczała się do prostych ogłoszeń, że pierwsza sesya w nowej kadencyi odbędzie się dnia tego i tego, że pogłoska czasopism, jakoby ten czy ów poseł na posiedzenia nie uczęszczał, jest błędną. Nic więcej!

I blichtrem okazało się również twierdzenie, że Koło „nie zabrania członkom swoim udzielać wiadomości o czynnościach i zapadłych uchwałach na własną odpowiedzialność za treść i formę“. Faktem bowiem jest, że Koło polskie wyrażało stale niezadowolenie swoje, ilekroć którykolwiek z posłów przemówił otwarcie do społeczeństwa, — faktem również jest, że posłowie, bądź to steroryzowani takiem postępowaniem, bądź przestraszeni niepopularnością własnej polityki, odmawiali wyborcom wszelkich informacyi, mając zawsze w pogotowiu odpowiedź, że „zasada tajności“ nie pozwala im indywidualnej wypowiadać opinii i zdradzać społeczeństwu, jakie przekonania reprezentują poszczególni posłowie. Znaliśmy zatem Koło, nie znaliśmy posłów.

Czyż w obec tego dziwić się można, że społeczeństwo, pouczone praktyką życia publicznego, przestało wierzyć w doniosłość wyżej cytowanej rezolucyi. Przekonawszy się na długiej lat przestrzeni, że elastyczne obietnice zawarte w uchwałach z listopada 1879 r. nie posiadają żadnej siły obowiązującej, że są dźwiękiem bez treści, mamidłem durzącem społeczeństwo, etykietą na pustej butelce, parawanem kryjącym *istotną bezwzględność tajemnicy*, zażądał cały zabór pruski niemal jednomyślnie, aby Koło polskie zbudowało most inny, silniejszy i szerszy między sobą a społeczeństwem.

Na żądanie to jednak odpowiedziano nam rezolucyą z przed szesnastu laty: „Nic więcej ofiarować nie możemy. Bezwzględna tajność uchwał nie istnieje. „*Status quo ante*“ pozostać musi“.

Wybrańcy i pełnomocnicy narodu rzucają zatem wyborcom swoim powtórnie rękawicę. Ta walka niezwykła jest chorobliwym objawem zabagnionych stosunków naszych i prędzej czy później może społeczeństwo przyprawić o straty dotkliwe, siejąc po całym kraju zamieszanie i walkę burzliwą.

Jeżeli jednak walka ta staje się konieczną, aby strumień naszego życia politycznnego w głębsze skierować koryto i głębszą wziąć skibę pod zasiew zdrowego ziarna, jeżeli żądania nasze płyną z rosnącej dojrzałości społeczeństwa, które do roli pospolitego pionka zniżać się nie chce, poczuwając się do obowiązku nietylko głosowania na posłów, lecz *poznania* i *sądzenia* reprezentantów swoich, jeżeli wreszcie rzucone zostało pytanie, czy posłowie rządzą narodem czy naród posłami, to my, aczkolwiek zgody całą duszą pragniemy, rzuconą rękawicę podejmujemy ochoczo.

Żądania nasze streściliśmy już w całym szeregu artykułów. Dziś zatem nie pozostaje nam nic innego, jak rekapitulując dawniejsze wywody, raz jeszcze powtórzyć, że za nieodzowny postulat normalnego rozwoju stosunków zaboru pruskiego uważamy przedewszystkiem otwarte wyznanie, jakie stanowisko w poszczególnych kwestyach politycznych zajmował poseł-jednostka. Jest to żądanie tak logiczne, tak naturalne i tak konieczne, że trudno zaiste zrozumieć ten zacięty opór, który Koło polskie tu właśnie objawia, — trudno zrozumieć, że istnieje społeczeństwo powierzające losy swoje ludziom, którzy w chwili przyjęcia mandatu stają się księgą zamkniętą. Nam mówią tylko, jak Koło głosuje, ale nikt nam nie powie, jak poseł głosował. My wiemy tylko, że mocą większości zapadają uchwały i na podstawie solidarności mniejszość im ulega, ale imię tych głosów za i przeciw oddanych pozostaje tajemnicą. My słyszymy nazwiska posłów, ale są to dźwięki bez treści, — czytamy ich mowy, ale są to fonograficzne popisy *Koła*, nie głos przekonań *jednostki*. Nie znamy ludzi i głosujemy na oślep, bez kontroli, bez przekonania, z tysiącem wątpliwości w duszy, a w okół krążą legendy i najfantastyczniejsze opinie o przedstawicielach narodu. Odgadujemy rebusy, wiecznie szukający i wiecznie niepewni, czy nie jesteśmy ofiarą złudzeń i mistyfikacyi, tumaniących bezustannie społeczeństwo.

Takiego położenia dłużej cierpliwie znosić niepodobno i posłowie polscy muszą się zdecydować na publiczne sprawozdania z głosowań swoich w obrębie Koła. A oprócz tego nieodzownego i pierwszorzędnego postulatu społeczeństwo pragnie niezmiennie, aby w tym murze nieprzejrzystym, dzielącym Berlin od Poznania, wybito bramy za przykładem Wiednia. My nie żądamy zerwania wszystkich osłon i kulis politycznych, bo nie zapominamy ani na chwilę, że tajemnica jest często gwarancyą zwycięstwa, że dyplomacya nie spowiada się z wszystkich motywów działania i kart nie odsłania, że posłowie wraz z mandatem otrzymują od społeczeństwa pewien kredyt moralny, lecz mamy prawo wymagać, aby nam przedstawiciele narodu odsłonili przynajmniej ogólne zarysy politycznej pracy. Pragniemy poznać choć w szkicu, choć w fragmentach tylko przebieg i treść posiedzeń, — pragniemy wiedzieć, kto był, kto mówił, kto pracował za nas, — pragniemy jednem słowem peryodycznych referatów z sekretaryatu Koła.

Posłowie nasi nie mają ucha dla żądań

KOSTECKI (*wskazując na drzwi*).

Tam twoja klątwa i śmierć!

(*Wychodzi z Wisłowskim.*)

WOLSKI (*sam*).

Co to znaczy? Wareccy tutaj? (*Wchodzi Marta, Melanja, Warecki, Karol.*)

Scena V.

Wolski, Warecki, Karol, Marta, Melanja.

MARTA (*biegnie ku Wolskiemu*).

Zygmuncie! Widzisz! Przyjechali. Dobroć twoja ich rozbroiła i wszystko zapomniane na zawsze.

WARECKI.

Panie Wolski! Marta doniosła nam wczoraj, że ocaliłeś nazwisko Wareckich przed szykanami ulicznej gawiedzi. Wiem, że sprzedaż Karłowic była niekoniecznie stósowną, ale zrozumiesz pan, że tylko fatalna presya stosunków popchnęła nas w ramiona kolonizacyi, a wobec opinii, która nie z motywami, lecz z faktem tylko się liczy, zdecydował się niebożczyk Ruszczewski odegrać rolę parawanu. Kandydatura Karola zawisła od tej niewinnej symulacyi, a twojej uczciwej dyskrecyi, mój zięciu, zawdzięczamy zwycięztwo. Dziękuję panu serdecznie i przyjmuję do grona rodziny. Pojmuję dobrze, że młody talent wyszumić musi, więc mniejsza o przeszłość. Zapomnijmy o niej i *requiescat in pace.*

KAROL.

Z twoją głową, panie Wolski, i naszemi wpływami trząść możemy prowincyą całą. Więc odtąd zgoda i przymierze. Oto ręka moja. (*Wyciąga rękę.*)

WOLSKI (*zapatrzony błędnym wzrokiem w Wareckich, pochyla się jakby do skoku*).

Za odstępstwo, za hańbę, za zdradę wy dłoń mi ścisnąć pragniecie?! Ślina uczciwemu, a upadłym pokłon! (*śmieje się kurczowo*) Pójdźcie tu do mnie, uderzcie w dzwony, zwołajcie zgraję dumnych patrycyuszów i na kolana przedemną! Jam was ocalił, jam z herbu Wareckich zmazał hańby plamę, jam zdradził lud!

MARTA.

Zygmuncie!

WOLSKI (*do Marty*).

Tak! módl się do mnie i w prochu pełzaj i stopy mi całuj, bo dla Wareckich pręgierz postawiono, a pod pręgierzem stanął twój małżonek. Zbliż się tu, pani, i scałuj ślinę, którą mnie oplwano i ciałem swojem owiń mnie jak wąż, bo w tym domu zimno i ponuro, tylko ślina pali mnie na twarzy.

WARECKI (*który wraz z Karolem cofnął się przerażony*).

Panie Wolski! Tracisz równowagę, oszalałeś chyba.

WOLSKI.

O! nie, panie teściu! Jam dzisiaj zdrowszy, niż kiedykolwiek. Gwebrem jestem który się modli do nowego słońca i śpiewa, śpiewa, aż mu serce pęka. O! bo też to dzień wesela i szczęścia, bo mi tak spieszno na ojbowskie łono Wareckich, że w piersiach dech mi zamiera (*śmieje się na całe gardło*). Ha! to mi sojusz. Brud z brudem, trzy cyfry potężne i ten ułamek niewieści (*wskazuje na Martę*).

KAROL.

Ojcze! pójdźmy ztąd. Marta omyliła się. Ten szaleniec nie dorośnie nigdy do rodziny naszej. To człowiek chory.

(*Zwraca się ku wyjściu*).

WOLSKI (*zasłaniając sobą drzwi*).

O! za pozwoleniem. Tu wasze miejsce, przy Marcie. Ptak uciekł z klatki złocistej, ale zatęsknił i wraca w pokorze. Niech leci, to lepiej dla nas obojga.

MARTA.

Boże! Co ty mówisz?

WOLSKI.

Tu przełom Marto! Każde z nas pójdzie inną życia drogą, bo wspólna ścieżyna za ciasna dla nas obojga.

MARTA.

Zygmuncie! ty straszny jesteś.

WOLSKI.

Stało się. Przedemną droga pokuty, i sam w nią pójdę, bez ciebie.

wyborców i ufając w kwietyzm narodu, mniemają, że do energiczniejszej akcyi nikt się nie zerwie. Niech drzemią w słodkim optymiźmie, a wrzenie rość będzie coraz namiętniej, aż w przeddzień wyborów stanie przed posłami jako potęga, przed którą ugiąć się muszą lub — zginą. Tam, gdzie całe nieomal społeczeństwo walczy z posłami, rezultat zapasów wątpliwym być nie może. My wybieramy posłów, — więc naszem być musi zwycięstwo.

Przegląd prasy polskiej
zaboru pruskiego

Wychodząca w Berlinie „*Gazeta Polska*“ rozwija w Nr. 42 myśl następującą:

„Dwa czynniki składać się winny — zdaniem naszem — na to, abyśmy korzystnie czynną obronę przeciw Spółce antypolskiej prowadzić mogli: zorganizowanie w Poznaniu towarzystwa ku popieraniu polskiego przemysłu i handlu, a na obczyźnie towarzystwa celem popierania powrotu do kraju polskich przemysłowców.

Nasamprzód pomówimy o ustroju potrzebnym u nas na obczyźnie, ażeby kraj korzystać mógł z małej części wychodźtwa, przedstawiającej dlań ekonomiczną wartość.

Zdarzało się n. p. dawniej, że z Poznańskiego pisał ktoś do prywatnych osób w Berlinie o przysłanie mu zdolnego przykrawacza, krawca lub szewca, o czeladnika stolarskiego i t. d. Zapytany mógł na podstawie swej znajomości rzeczy i osób proponować komuś wyjazd, ale zdarzyć się mogło, że nikogo nie znalazł chętnego, albo też chętni do wyjazdu nie posiadali potrzebnego na podróż czy też na uregulowanie swych tutejszych stosunków funduszu, i t. d. — a na staraniach potrzebnych schodził czas, i nieraz nikła możność wyjazdu; w najlepszym zaś dla wyjeżdżającego razie tracił na zwłoce czekający majster.

Gdyby istniało towarzystwo z odpowiednim funduszem, zgłaszaćby się do niego mogli wszyscy ci, którzy w danym razie do kraju wyjechać chcieli; zarząd towarzystwa, złożony z ludzi światłych i bezstronnych, radziłby się co do uzdolnienia zawodowego ludzi wysełanych do kraju, mężów zaufania i starszych osób fachowych wybranych na razie z łona tutejszych towarzystw. Później, liczba mężów zaufania uzupełniać by się mogła przez przybieranie i przez wybory ogólne.

Co do wsparcia udzielanych, możnaby im nadać formę bezprocentowych pożyczek na czas nieograniczony; w ruchu funduszów zapisywałyby się jako wydatki, podczas gdy zwrot którejkolwiek do dochodów by się zaliczał. Nakładając każdemu odbierającemu zasiłek moralny obowiązek zwrotu — w razie możności — odbiera się wsparcioni pewne dla niejednego przykre znamię darowizny; tem więcej zasługuje to na uwagę, jeżeliby zarząd kasy włączono do zarządu „Przytuliska“.

Zresztą uwzględniać powinno towarzystwo przedewszystkiem członków swych, coby pobudzało młodych przemysłowców do chętniejszego przystępowania doń.

Oprócz wysyłania do kraju potrzebnych tam pomocników przemysłowych, mogłoby Tow. nieraz także przysłużyć się samodzielnym przemysłowcom, którzy posiadając na obczyźnie własny interes, dający im utrzymanie, ale nic nadto, chętnieby osiedlili się w kraju, przekonani, że z nabytem tu doświadczeniem potrafią tam równie zarobić na kawałek chleba — ale nie mają czasu i zasobów potrzebnych dla wyszukania najdogodniejszego miejsca, jak i zajęcia się sprzedażą korzystną swego tutejszego interesu. Koszta i trudy połączone ze sprawą sprzedaży interesu w wielkich miastach są, jak wiadomo, nieraz bardzo wielkie — to też Tow., podejmując się tego trudu, przeprowadzając odnośną korespondencyą, płacąc ogłoszenia i t. p., i uskuteczniając w ten sposób korzystnie sprzedaż drobnych szczególnie interesów (n. p. składu obuwia i t. p.) ułatwić by mogło niejednemu przemysłowcowi powrót, od którego tylko te trudności i wydatki go powstrzymują. W takich razach interesenci chętnie by nawet za pośrednictwo płacili małe wynagrodzenie, obowiązując się zresztą zwracać towarzystwu poniesione przezeń koszta w przeciągu oznaczonego czasu.“

Do „*Gazety Toruńskiej*“ (Nr. 126) donoszą z Nowego:

„Jak wogóle wszędzie tak samo i my robiliśmy przygotowania z upiększeniem bram tryumfalnych etc. na przyjazd X. Biskupa. Zrobione były 4 bramy, na których napisy: pierwszy polski „Witamy“, na dwóch drugich niemieckie „Herzlichst Willkommen“, a na ostatniej łaciński napis. Pierwszy polski napis rozkazał p. burmistrz Holtz zdjąć. Gdy pomimo kilkorazowego zawezwania zwróconego do mężczyzn czynnych przy dekoracyi bram nie usłuchano, pozwoliła sobie policya zdjąć napis. Również u obywatela S. Kitowskiego był napis na jego własnym budynku „Witamy“. Gdy pan K. również mimo nakazu policyi nie zdjął napisu, uczyniła to policya. Wskutek tego wysłał ksiądz proboszcz dr. Muszyński depeszę z zażaleniem do prezesa rejencyjnego w Kwidzynie zkąd nadeszła krótka przed przyjazdem X. Biskupa odpowiedź „Napis polski może pozostać lecz obok tego w równej wielkości na tym samym transparencie powinien być niemiecki.“

W sprawie odmownej odpowiedzi udzielonej przez Koło polskie w sejmie pruskim obywatelom poznańskim, żądającym, aby posłowie nasi zerwali z zasadą dotychczasowej tajności uchwał, zamieszcza „*Goniec Wielkopolski*“ w Nr. 127 między innemi takie uwagi:

„Wynikiem tej tajemniczości, jaką się Koła nasze z widoczną lubością otaczają, będzie z jednej strony absolutna niechęć do spraw publicznych u tych, ktorzy nie umieją być wytwalemi we walce o zasady, z drugiej strony rozgoryczenie tej części społeczeństwa, która sine ira et studio pragnie reformy nie dla tego, żeby jej się ten lub ów poseł nie podobał, lecz dla prawdziwego postępu i rozwoju idei rozumno-demokratycznej, na której polega przyszłość nasza pod zaborem pruskim.

...Spamiętajmy sobie odpowiedź Koła sejmowego i rezolucyą jego z roku 79tego. Gdy przyjdzie czas nowych wyborów, będziemy żądali od posłów deklaracyi, że zaprowadzą reformę i stawimy im to za warunek wyboru, jako pacta conventa

Tym sposobem jedynie wniosek posła Głębockiego z czasem powróci na stół obrad i zyskać może zwycięztwo. Dzisiaj atoli zapiszmy mu wdzięczność i uznanie w sercach naszych za stanowisko, jakie zajął w imieniu nas wyborców, a życzmy sobie, aby więcej ludzi podobnych przekonań znalazł w przyszłej kadencyi między swymi kolegami.

Co się zaś tyczy Koła parlamentarnego, to nie łudźmy się płonną nadzieją i nie liczmy na lepszą odpowiedź jak od Koła sejmowego Mieliśmy nadzieję, że Koło sejmowe przeprowadzi zbawienną reformę — o parlamentarnem nawet tego niestety powiedzieć nie możemy; panuje tam większość wygodno-konserwatywna, która wtenczas tylko przemawia „do narodu“ — gdy chodzi o „nieme potępienie,“ którego z liberalnych kolegów, lub o deklaracyą, że „potępia się“ to a to pismo za to, że pisze prusakofilom prawdę. Wogóle parlamentarne Koło lubi wszystko „potępiać“ prócz win własnych, militaryzmu, nowych podatków, ustaw przychylnyeh dla agraryuszy i zależności od centrum, w której obecnie tkwi po same uszy.

Pod tytułem: „Do Rzymu!“ zamieszcza „*Orędownik*“ w Nr. 123 następujące uwagi:

„Gazety zachodnio-pruskie i to „Grudziądzka“ i „Gdańska“, wziąwszy pod bliższą rozwagę smutne wypadki sztumskie, przyszły do przekonania, że innej drogi nie ma, jak tylko sprawę tę przedłożyć Stolicy Apostolskiej Obie gazety napisały obszerniejsze artykuły i dobrze projekt wysłania żalów ludu polskiego do Rzymu uzasadniły.

Obie wypowiadają zdanie:

1) że germanizacya przez Kościół przybiera w Prusach Zachodnich i Wschodnich coraz większe wprost zastraszające rozmiary;

2) że jeżeli to tak dalej pójdzie, to pewna część ludności polskiej z niechęci do księży germanizatorów przejdzie na protestantyzm i w tych okolicach protestantyzm będzie się zwiększał, a katolicyzm kurczył.

3) że germanizacya przez księży zaszkodzi zatem więcej Kościołowi katolickiemu, aniżeli narodowości polskiej.

„Gdańska“ radzi, żeby w żalach ludu polskiego do Ojca św. objąć stosunki nie tylko warmińskie, ale i zachodnio-pruskie, a więc z pod dwóch Biskupów. Jej odnośne uwagi w tym punkcie podajemy poniżej.

„Grudziądzka“ radzi, żeby w tym celu zwołać więc i z wieca posłać skargę do Rzymu, opatrzoną podpisami ludu polskiego.

Co do propozycyi „Gdańskiej“ nasze zdanie jest takie, że nie należy mieszać spraw dyecezyi warmińskiej z sprawami dyecezyi chełmińskiej, bo w żalach ludu polskiego łatwo się może wykazać, że za to, co się tam dzieje, spada pośrednio także pewna odpowiedzialność na Biskupów. I wtedy trzebaby się w Rzymie zwrócić od razu przeciw dwom Biskupom. Byłaby to naszem zdaniem taktyka bardzo fałszywa i jeżeli nasz głos coś znaczy, to usilnie radzimy: nie występować od razu przeciw dwom Biskupom.

Radzimy sprawę tę zlokalizować, jak się to w polityce mówi, na parafii sztumskiej — i tylko na niej.“

Przegląd prasy słowiańskiej.

Bułgarska „Nowa Swoboda“ pisze o położeniu obecnem w Bułgaryi i stosunku tejże do Rosyi:

„Dotychczas nie jest wiadomym cel i rezultat, jaki miała podróż Dragomira Cankowa do Petersburga. Dowiadujemy się, że tutejszy klub Cankowistów rozszerza wiadomości, iż car przyjął Cankowa bardzo przychylnie i zakomunikował mu pod jakimi warunkami może nastąpić pomiędzy nim a Bułgaryą porozumienie. Warunki te są następujące: mianowanie Rosya-

---

WARECKI.

Marto! nie narzucaj się temu panu. Dziecko moje znajdzie gościnę w domu przodków swoich.

MARTA.

Nie, nie, ojcze! On mnie nie opuści. Nie mówcie tak, bo szał mnie ogarnia.

WOLSKI.

Tak być musi. Tyś łańcuch twardy, co w ciało się wpija i o ziemię wali. Tyś żywe grzechu wspomnienie. Idź! mażę błąd życia. Bądź zdrowa!

MARTA (*tuli się namiętnie do niego*).

O przestań, nie opuszczaj!

WOLSKI.

Łzy twoje osch̨ną, czas wspomnienia zgasi. Między nami wszystko skończone. Idź już... nie błagaj (*odsuwa ją*).

WARECKI (*chwyta Martę za rękę*).

Warecka żebrać nie umie. Im prędzej pójdzie pan Wolski, tem lepiej dla nas i dla narodu.

MARTA.

Co? Opuścisz? A dziecko? dziecko moje?

WOLSKI (*z bólem*).

Dziecko!... tak! to boli... (*z rezygnacyą*). A jednak inaczej być nie może... Niechaj w otchłań nie patrzy, która nas dzień na zawsze, a jeśli kiedyś spyta się o ojca, powiedz mu, żem umarł (*spostrzega Melanję i ujmując ją gorąco za rękę, mówi półgłosem*). I nasza nić złota zerwać się musi. Czuwaj ty nad dziecięciem mojem i nie pogardzaj, nie potępiaj mnie!

MELANJA.

Cokolwiek czynisz, dobre być musi. (*Szeptem ledwie dosłyszalnym*). Kochałam cię więcej niż duszę i w chwilach bólu znajdziesz mnie zawsze przy sobie.

(*Za sceną słychać głośne okrzyki: Hurra! Niech żyje Warecki!*)

WOLSKI (*z przestrachem*).

A! (*biegnie do okna, krzyki wzmagają się, Wolski woła rozpaczliwie:*) Dość! Dość! Zdradziłem lud (*wybiega*).

MARTA.

Zygmuncie! (*wydziera się ojcu, biegnie ku drzwiom i pada zemdlona.*)

Głosy za sceną:

Górą Warecki!

(*Kurtyna spada*).

KONIEC.

Hr. L. TOŁSTOJ.

PAN I SŁUGA.

NOWELA.

Tłom. z orginału **M W.**

(*Dokończenie.*)

I nie wiadomo dla czego widok tego zielska, srodze dręczonego przez wichurę, dreszczem przejął Brechunowa. Popędzał on teraz konia coraz natarczywiej, nie pomnąc, że aby zbliżyć się do burzanu, zmienił był pierwotny kierunek i wyobrażając, że wciąż posuwa się w stronę gdzie powinna była znajdować się leśniczówka. A ponieważ koń kierował się stale w prawo, on go nie przestawał zwracać w lewo.

I znowu coś zaszarzało przed koniem. Uradowany Brechunow nie wątpił, że teraz do wioski dojeżdża. Była to jednak ponownie miedza burzanem zarosła. I ten burzan miotany wichrem, wzbudził po raz drugi niewytłumaczony jakiś przestrach w Brechunowie. I nie tylko burzan był zupełnie taki, jak wpierw spotkany, ale tuż obok biegł nawpół zawiany wiatrem ślad. Brechunow stanął, pochylił się, przypatrzył i poznał, że to były ślady kopyt końskich i mogły pochodzić tylko od gniadosza.

nina ministrem wojny i dowódzcą wszelkich sił zbrojnych, dymisya obecnego gabinetu i powołanie nowego z Cankowem na czele. Tymczasem rusofilskie „S a g l a s i e“, które utrzymuje stosunki z partyą rusofilską i jest jej głównem organem, o sprawie tej milczy, a nawet zaprzecza, jakoby car miał Cankowowi udzielić audyencyi.

„W tych dniach wyszła broszura dr. G. Kasabowa p. t. „Rosya i kwestya bułgarska“. Kasabow oświadcza, iż jest politykiem bez barwy któregokolwiek stronnictwa. Sądzi on, że Bułgarya na podstawie historycznych faktów powinna dążyć do porozumienia z Rosyą, ale Rosya nie ma znowu powodów do odmawiania ks. Coburgowi praw do tronu bułgarskiego. Księcia wybrało wielkie sobranie narodowe i został on uznany przez wszystkie państwa konstytucyjne; Rosya nie ma prawa rozporządzać Bułgaryą samowolnie. Rosya odłączyła się sama od Bułgaryi i zajęła wobec niej stanowisko nieprzyjacielskie...

„Z wewnętrznych kwestyi bułgarskich najważniejszą jest kwestya macedońska, bo ona decyduje o stosunku naszym do Turcyi. Rząd obecnie pilnie strzeże Macedończyków przebywających w Bułgaryi. Agitacya jaką emigranci macedońscy rozwinęli, zagraża przyjacielskim stosunkom Bułgaryi i Turcyi. Dotychczas rząd nie wystąpił przeciw istniejącemu w Šredcu komitetowi macedońskiemu, ale jeżeli w agitacyi nie ustanie, rząd zostanie zmuszony do rozwiązania komitetu. Już obecnie stan rzeczy w Macedonii się pogorszył. Rząd turecki wzmacnia załogi i straże pograniczne, gdyż otwarcie się tam mówi o przygotowaniach do powstania. Deputacyi macedońskiej książe oświadczył, iż kwestyą macedońską się interesuje, ale polecał postępowanie dowolne, aby nie narażać się na niełaskę sułtana. Gdyby Macedończycy nie zmienili swego postępowania, wówczas książe i rząd cofnie poparcie materyalne i moralne, którego komitetowi udzielał...“

* * *

Główny organ partyi młodoruskiej „D i ł o“ umieszcza pismo patryoty rusińskiego ks. Taniaczkiewicza o stosunkach obecnych na Rusi halickiej:

„W obecnym czasie, w chwili takiego zubożenia ludu, niedoli, w dobie emigracyi patryoci prawdziwi, choćby byli przodownikami ruchu narodowego, powinni być zajęci pracą w kraju, pracą praktyczną i kraju ani jednej chwili nie opuszczać. Taka robota około oświecenia ludu jest stokroć ważniejsza, aniżeli bezużyteczne sprawy w sejmach i parlamentach, gdzie właśnie dla braku oświaty ludu reprezentujemy nic nie znaczące mniejszości. Agitatorzy narodowi mają przygotować materyał dla pracy parlamentarnej, a tego materyału dotychczas mamy za mało.

„W obozie naszym pozostało w ostatnim czasie tyle stronnictw, koteryi, tyle blagi, że istnieje uzasadniona obawa, iż sprawa nasza na nowe zostanie narażoną straty. Świętym obowiązkiem każdego patryoty jest występować przeciw tej demoralizacyi i zepsuciu...“

* * *

Organ partyi młodosłowińskiej, „S l o v e n s k i N a r o d“, pisze:

„Dla ocenienia nowożytnej walki narodowościowej i stosunków panujących w Austryi, gdzie Niemcy stanowią większość, jest przykładem klasycznym nasz mały naród słowiński. Jest nas Słowińców w Austryi około 1,200,000. Do nich nie zaliczamy już tych miejscowości słowińskich, które leżą we Włoszech, Chorwacyi i Węgrzech.

„Nie jest nas wielu. W Krainie jesteśmy w domu, tam posiadamy znaczne większości i gospodarzymy się po swojemu. W Karyntyi i Styryi jest trzecia część ludności słowińskiej, za to na Przymorzu, w Litoralii austryackiej, stanowimy większość. Nie mamy prawno-państwowej przeszłości politycznej i nie możemy się odwoływać na nią.

Walczymy z dwoma narodowościami, które nas przewyższają i liczbą i kulturą, Włochami i Niemcami, pod których naciskiem liczba nasza topnieje. W Wiedniu wspomina się o nas obok innych Słowian, Czechów i Polaków, a dziś stanowimy w koalicyi dość poważny czynnik. Ojciec koalicyi hr. Hohenwart reprezentuje okręg słowiński, a razem z nim zasiada w radzie państwa siedmiu naszych przedstawicieli, którzy mu pozostali wiernymi. Dla tego, że hr. Hohenwartowi dochowali wiary i nie wystąpili z klubu, jak Chorwaci mają u rządu pewne znaczenie.

Czy polityka naszych posłów, którzy nie poszli razem z Młodoczechami, jest słuszną, zobaczymy wkrótce. Rozstrzygnie o tem kwestya gimnazyum cylejskiego, gdyż kwestya ma dla nas znaczenie pierwszorzędne. Gdyby koalicya zawiodła Słowińców, wówczas nasi posłowie nie mogliby dłużej pozostać w związku dotychczasowym i przeszliby porówno z Chorwatami do opozycyi.“

D. K.

LITERATURA I SZTUKA.

Edward Przewóski.

(Wspomnienie pozgonne).

Nie była niespodzianką śmierć Edwarda Przewóskiego. Od paru miesięcy wiedziano, że dotknięty jest suchotami, które przywiózł z sobą do Kijowa z zagranicy, i że najtroskliwsza pomoc jedynie może przewlec powolne konanie. A jednak wiadomość, że tym posępnym przewidywaniom stało się zadość, wywarła na mnie bardzo przykre wrażenie.

Temperament to był na wskroś dziennikarski, który w rozgardyaszu czuł się jak w swoim żywiole. Poraz pierwszy poznałem E. Przewóskiego przed laty blisko piętnastu we Lwowie. Pracował on wtedy w jednem z tamtejszych pism codziennych. Udałem się do redakcyi; dopytywał się o znajomych w Warszawie i jednocześnie, półobrócony do mnie, pisał swój wstępny artykuł. Pono tak zawsze pracował. Samotności nie znosił, przynajmniej przy pracy. Tworzył tylko śród gwaru. W Paryżu uciekał z mieszkania do płatnych czytelni, tam wybierał stolik pod oknem, ażeby mieć przed sobą przepływający potok ludzki i przerzucał dzienniki. Powoli czuł, że pod wpływem otoczenia w umyśle coś zaczyna kiełkować, aż wreszcie chwytał pewien temat i rękopis niebawem znajdował się już w skrzynce pocztowej. Jak każdy urodzony publicysta posiadał on niezmierny talent zamiany najbardziej oderwanej idei na tętniącą życiem teraźniejszości. Pamiętam czasy studyów swoich w Paryżu 1885 r. W kółku przyjacielskiem toczyły się rozprawy o rzeczach, zdawałoby się, zupełnie nie związanych z życiem. Były to abstrakcye ekonomiczne i filozoficzne, często zaś zagadnienia, zrodzone tylko z potrzeby młodocianych umysłów dysputowania o czemś, chociażby o tem, o czem dysputować nie było warto. Przewóski w lot chwytał pierwszy lepszy parodoks, a w parę tygodni oglądaliśmy go zamieniony na cały artykuł w którémś z pism. Rzeczy najjałowsze, względnie najabstrakcyjniejsze, przekształcały się pod jego piórem w coś oddychającego życiem. Doktrynerstwo tam znikało, a występowało coś odmiennego, w czem ktoś nawet, uwiedziony pozorami, mógł dostrzedz brak stałych zasad. Zarobkując piórem i zmuszony pisać do wielu pism, wogóle ściągał on na

---

Kołował więc widocznie i to na szczupłej przestrzeni nie posuwając się naprzód.

— Zginąć mi tutaj chyba przyjdzie — pomyślał Brechunow, i dla stłumienia ogarniającej go trwogi tem zajadlej poganiał konia, wpatrując się z wytężeniem w białą, śnieżną mgłę, w której nic nie można było dojrzeć prócz błyszczących punkcików, które pojawiając się od czasu do czasu szybko niknęły. Po dłuższej chwili takiej jazdy wydało mu się, że słyszy ujadanie psów lub też wycie wilków, ale dźwięk ten był tak słaby i nieokreślony, że nie było nawet pewności, czy rozlega się w rzeczywistości, czy też tylko w jego wyobraźni, zatrzymawszy więc konia zaczął wsłuchiwać się z całem naprężeniem uwagi.

W tem jakiś straszny, ogłuszający krzyk obił się o jego uszy, a jednocześnie to, na czem siedział, drgać i trząść się pod nim zaczęło. Brechunow uchwycił konia za szyję, ale i szyja końska silnie się trzęsła, a przerażający krzyk stał się jeszcze straszniejszym. Przez kilka sekund Brechunow nie mógł oprzytomnieć, nie mógł zrozumieć, co się stało. A stało się tylko tyle, że gniadosz, czy to chcąc dodać sobie otuchy, czy też wezwać ludzkiej pomocy, zarżał swoim dźwięcznym donośnym głosem.

— Tfu do licha! toż dopiero nastraszył mnie przeklęty! — zaklął Brechunow.

Ale i teraz, jakkolwiek zrozumiał przyczynę swego przerażenia, nie był atoli w stanie z niego się otrząsnąć.

Trzeba się namyśleć, uspokoić — powtarzał w duchu, a jednocześnie wciąż przynaglał konia, nie umiejąc zapanować nad sobą i nie zwracając uwagi, że teraz wiatr mu dął w plecy, a nie w twarz.

Brechunow nie myślał już teraz ani o lesie, ani o leśniczówce, jedynem jego pragnieniem było wrócić do miejsca, gdzie zostały sanie, aby nie zginąć samotnie, jak owe zielsko, wśród tej przerażającej pustyni śnieżnej.

Nagle koń zapadł się pod nim, ugrzązł w zaspie i zaczął się tam szarpać, padając na bok. Brechunow zeskoczył w śnieg, ściągając w jedną stronę uprząż i derkę, a uwolniony z pod jego ciężaru, koń podniósł się, szarpnął naprzód, podskoczył raz, drugi, zarżał i wlokąc za sobą derkę i cugle, zniknął z oczu, pozostawiając jeźdzca samego w zaspie. Brechunow rzucił się w ślad za nim, ale śnieg był tak głęboki, a dwa futra, które miał na sobie, tak ciężkie, że grząznąc po kolana, zrobił zaledwie dwadzieścia kroków i stanął bez tchu, jak wryty.

— Las, skopy, dzierżawa, sklep, szynki — przemknęło mu przez głowę — i wszystko to miałoby zostać? Co to się dzieje ze mną?... Nie, toby było niepodobieństwem!

I nie wiadomo dla czego przyszedł mu na myśl ów burzan, miotany wichrem, koło którego przejeżdżał dwukrotnie, a zarazem ogarnęło go tak silne przerażenie, że nie mógł uwierzyć w rzeczywistość tego, co się z nim działo.

— Czy to nie sen? — myślał, usiłując się przebudzić, ale budzić się nie potrzebował, bo rzeczywistością był ów śnieg, który smagał mu twarz i zasypywał go, rzeczywistością była i ta istna pustynia, w której znajdował się teraz sam, zupełnie sam — jak ów burzan — i gdzie go oczekiwała nieunikniona, szybka, nie dająca się pojąć śmierć.

— Krolowo niebieska, święty Mikołaju cudotwórco, ludzi miłośniku — przypomniały mu się wyrazy z wczorajszego nabożeństwa i obraz z ciemnem licem w złotej szacie, i świece woskowe, które sprzedawał do tegoż obrazu i które mu potem zwracano zaledwie nadpalone, a on je chował do pudła. I zaczął się modlić, błagając Mikołaja cudotwórcę, aby go ocalił i obiecując mu w zamian zakupienie uroczystego nabożeństwa i świece. Ale zrozumiał natychmiast jasno, bez cienia wątpliwości, że ta ciemna twarz świętego, złocista jego szata, świece, kapłani, nabożeństwa, były to rzeczy ważne i potrzebne tam, w cerkwi, że tutaj nie mają one żadnego zgoła znaczenia i że między temi świecami, nabożeństwami, a nieszczęsnem jego położeniem nie ma i nie może być żadnego związku.

— Nie trzeba tracić odwagi. Trzeba iść śladem konia, bo i ten wkrótce śnieg zawieje — przypomniał sobie i rzucił się naprzód. I chociaż miał zamiar iść wolnym krokiem, biegł teraz, padając, podnosząc się i znowu

siebie zarzut, że zanadto dopasowywa się — w pewnych granicach, bo w zasadniczych poglądach nigdy nie spostrzegłem, ażeby się sobie sprzeniewierzył. To dopasywowanie odbywało się jakoś żywiołowo, Przewóskiego porywał temperament i niósł na przekór woli. Opowiadał niegdyś, iż pisząc o czemś, tak przejmuje się swoją rolą, iż staje się jakby adwokatem rozbieranej doktryny. Usposobienie jego nieraz mu płatało takie figle. Żyjąc wrażeniami i zmuszony przekuwać je natychmiast na środki utrzymania, nie mógł ześrodkować myśli swoich na czemkolwiek. Musiał pisać o wszystkiem: o polityce bieżącej i o teoryach naukowych, o prądach w literaturze i o rzeczach ekonomicznych — o jednem z rana, o drugiem po południu. Przychodziło mu to z łatwością dzięki szczęśliwemu charakterowi, ale swoją drogą oddziaływało niekorzystnie. Przewóski, zamiast skorzystania od razu z posiadanego kapitału umysłowego, zamieniał go na groszaki i trwonił w drobnej monecie. Werwa jego i dowcip rozpraszały się w artykulikach, niekiedy nawet nie podpisywanych. Od lat wielu nie było w kraju ani jednego pisma postępowego, w któremby nie pracował. Wartość tych prac jest bardzo różną, jak zwykle bywa w publicystyce, obliczonej na zarobek. Ale są tam też rzeczy cenniejsze, które nie powinny utonąć w zapomnieniu.

K. R. Żywicki.

Nowele Sewera.

Zdarza się często, że z serdecznem uczuciem wyciągamy po raz pierwszy dłoń swoją do kogoś, w kim przeczuwamy przyszłego przyjaciela, a przynajmniej dobrego towarzysza. Z podobnem uczuciem witałem świeżo wyszłe dwa tomy nowel Sewera, pewny, że przerzucając okiem ich karty odbędę miłą, orzeźwiającą umysł i serce wędrówkę. Sewer bowiem ma to do siebie, że się z góry wierzy, iż wszystko, co wychodzi z pod jego pióra, musi być napisane z talentem i smakiem artystycznym. Panegiryzmem trąciłoby zdanie, iż w całej różnostronnej twórczości literackiej Sewera nie ma rzeczy słabszych, że każdy typ przez niego stworzony jest doskonałym, że nie ma całkiem rysów lub błędów w konstrukcyi niektórych z jego utworów. Nawet w wybornej jego trzytomowej „Nafcie“ znalazłem pewne usterki, których nie omieszkałem wytknąć w napisanej przezemnie recenzyi. Ale rzeczy bezwzględnie doskonałych nie ma pewno na świecie; nawet największe arcydzieła tak literatury jak sztuki nie są wolne od błędów. Tylko o błędach tych łatwo się zapomina, ogarniając całość wzrokiem, słuchem, lub umysłem; w sumie estetycznych wrażeń giną drobne dysonanse...

Każdy z dwóch tomów nowel Sewera zawiera po trzy utwory, połączone ze sobą wspólnością tła i kolorytu. W pierwszym tomie, noszącym ogólny napis: „Nowele“, słyszymy szczęk broni, odczuwamy wielkie bóle i wielkie, choć znikome radości; tom drugi, zatytułowany „Zalotnica“ przenosi nas „do tych pól malowanych kwieciem rozmaitem, wyzłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem, wśród których biją czyste źródła i czyste serca.

Pierwszą nowelą pierwszego tomu jest „Pamiętnik Maniusi“. Oderwano Maniusię od lalki, od stajni i kurnika, od stojącego przy drodze św. Floryana z czarnemi wąsami i oddano na pensyą klasztorną do Krakowa. Nowela więc opisuje życie wychowanek klasztornych, ich „trudy naukowe“, zabawy, kłopoty, spiski, „zatargi z władzą“, klęski i zwycięstwa. Na tem tle rysują się charakterystyczne typy katechety, panny-prefekty i nauczycielek-zakonnic. Obraz tego zamkniętego światka już sam przez się byłby bardzo ciekawy, ale Sewer wprowadził jeszcze do niego tło szersze, patryotyczne. Maniusia weszła na pensyą klasztorną w chwili, kiedy uczucia całego narodu były podniesione, kiedy każda wiadomość z rwącej się do wolności Warszawy przejmowała drżeniem, obawą, lub radością serca czuć umiejące. Już w przeddzień wejścia na pensyą słyszała, jak ojciec z zapałem zapowiadał Polskę od morza do morza, dostrzegła, jak za wejściem radzcy Knolla reprezentanta rządu na Podgórzu, zamilkli na znak dany wszyscy prorokujący wojnę europejską. Zaraz pierwszego dnia lekcyi miała zajście z nauczycielką Niemką, zdziwioną, iż Maniusia, pomimo nazwiska niemieckiego, nie umie po niemiecku; zdziwienie zamieniło się w oburzenie, kiedy mała bohaterka oświadczyła, że nigdy Niemką nie będzie i śmiała „język państwowy“ nazwać szkaradnym. Zajście to, załagodzone przez zacnego księdza Tekstorysa, który kazał „kochać Polskę, a Niemki nie drażnić“, rozbudziło pomiędzy wszystkiemi wychowankami klasztoru słabo dotychczas tlejące w ich sercach poczucie narodowości. Niedługo buchnęło ono płomieniem, bo nadszedł rok 1863. Następuje cały szereg prześlicznych obrazków. „Przychodnie“ przyniosły ze sobą „Boże coś Polskę“ i z „Dymem Pożarów;“ siostra Augustyna stała na straży, kiedy młode wychowanki przepisywały te hymny przez cały wieczór. Nazajutrz, będąc w oratoryum, usłyszały w kościele „Boże coś Polskę“ przyłączyły się do chóru z odwagą, która zbudziła w nich myśl, że się dobrze zasługują ojczyźnie. Nastąpiła indagacya, poszukiwania winowajczyni, bo szkoła była uznaną przez rząd i zostawała też pod jego nadzorem. Nie będę dalej opowiadał treści, bo rzecz to niewdzięczna streszczać sucho to, co drga życiem. Na zakończenie noweli zjawia się ten sam, co na początku radzca Knoll, Niemiec, ale blady, chwiejący się, z twarzą bolesną: syn jego poszedł do powstania i zginął. „Złożyłem na ołtarzu Polski krew mojej krwi — mówił cicho radzca — może teraz pan Aleksander nie powie: cicho, bo Niemiec idzie!“

Całe to opowiadanie, o ile mi wiadomo, jest wzięte prosto z życia — wszystkie postacie są w niem rzeczywiste, nawet opowiadająca Maniusia. Nadzwyczaj wdzięczny to obrazek z niedawno minionej przeszłości. Gwarno w nim, poczciwie, wesoło, serdecznie, choć kończy się łzawo. Do akcyi prostej, niewyszukanej, oprócz tłumu dzieweczek, ich braci i kuzynów, wchodzi kilkanaście osób zaledwo naszkicowanych, ale tak świetnie i wyraźnie, że każdą z nich prawie na wylot poznajemy. Sewer rzuca na papier kilka rysów charakterystycznych, kilkoma pociągami pióra zaznacza kontury postaci, i typ już gotowy. A z wyjątkiem „fasy“ niemczury i „kusego inspektora Machera, wszystkie te postacie są wysoce sympatyczne, tak, że nie wiadomo, którą postawić na pierwszem miejscu: czy siostrę Barbarę, co to jeszcze tańczyła z księciem Józefem, czy siostrę Bogumiłę, co siedziała niegdyś w więzieniu za ojczyznę, czy siostrę Augustynę, spiskującą z młodziutkiemi patryotkami, czy owego Knolla, księdza Tekstorysa, czy wreszcie ojca narratorki, wierzącego w Napoleona i zapowiadającego uroczyście, że „będzie Polska!“ Podkład patryotyczny wprowadzony bez żadnej przesady, czułostkowości, z prawdziwą miarą artystyczną, wywiera silne wrażenie na czytelniku.

I w drugim z kolei utworze „Na pobojowisku“ fakta rzeczywiste stanowią osnowę opowiadania. Treścią noweli jest udział Hauke-Bosaka w wojnie niemiecko-francuskiej, zakończony jego śmiercią, a raczej prawie zabójstwem w zasadzce przez żołnierzy Falkenhagena. Sewer dążył właśnie do Bosaka, kiedy w drodze doszła go wieść o jego śmierci. Oddał mu ostatnią posługę, a od towarzyszów jego dowiedział się szczegółów o przebiegu walk

---

padając. Tam, gdzie śnieg był nie głęboki, ślad konia zaledwie już można było dojrzeć.

— Zginąłem! — jęknął Brechunow — stracę i ten ślad...

Ale w tejże chwili rzuciwszy okiem przed siebie, dojrzał coś czarnego. Był to gniadosz i nie sam tylko gniadosz, leca i sanie i hołoble. Gniadosz z suniętą na jeden bok uprzężą i derką, stał nie na dawnem miejscu, lecz bliżej hołobli i mając przednią nogę zaplątaną w cugle, rzucał głową, której nie mógł podnieść. Wyszło teraz na jaw, że Brechunow ugrzązł w kotlinie, tam, gdzie zapadał z Nikitą, a gniadosz wskazywał mu drogę z powrotem ku saniom i że on zeskoczył z konia nie dalej, jak na odległości jakich 50 kroków od miejsca, gdzie pozostały sanie.

IX.

Dotarłszy do sani, Brechunow uchwycił się ich poręczy i stał tak przez długą chwilę nieruchomy, aby się uspokoić i odetchnąć. Nikity nie było na dawnem miejscu, ale w głębi sani leżało coś, całkiem już zawianego śniegiem, i Brechunow domyślał się, że to być musi Nikita. Sam on nie czuł teraz żadnej zgoła trwogi i jeżeli obawiał się czego, to chyba strasznego uczucia przerażenia, jakiego doświadczył, jadąc konno, a zwłaszcza wówczas, gdy został sam jeden w zaspie. Chodziło teraz o to przedewszystkiem, aby za jakąbądź cenę nie dopuścić do siebie tego uczucia, aby zaś stawić mu skuteczny opór, należało myśleć nie o sobie, tylko o czembądź innem, należało coś przedsięwziąść. Dla tego też pierwszą jego czynnością było to, że zwróciwszy się plecami do wiatru, rozwiązał pas, który podtrzymywał futro, a wypocząwszy nieco, jął wytrząsać śnieg z butów i rękawic, poczem owinął się znowu mocno i nizko pasem, przygotowując się do działania, jak to zwykł był czynić, gdy wychodził ze sklepu skupować przywiezione przez chłopów zboże.

Pierwszą sprawą do załatwienia było wyprostowanie nogi koniowi. Brechunow to uczynił i rozplątawszy cugle, przywiązał gniadosza do żelaznego haku z przodu sani na dawnem miejscu, poczem zaszedł z tyłu konia, aby poprawić uprząż i derkę. Ale w tej właśnie chwili spostrzegł, że w saniach coś się poruszyło z pod śniegu, którym była przykryta, wynurzyła się głowa Nikity. Z niezmiernym widocznie wysiłkiem chłop się podniósł, usiadł i machając ręką przed twarzą, dziwnym jakimś, niby muchy opędzającym ruchem, mówił coś zwolna, a jak się Brechunowi wydało, przywoływał go ku sobie. Pozostawiając więc poprawienie derki na później, zbliżył się ku saniom.

— Co ci jest? — zapytał. — Czego chcesz?

— U-mie-ram — oto co mi jest — odparł z wysiłkiem, rwącym się głosem Nikita. — Należną mi pensyę chłopakowi memu oddaj, albo kobiecie — wszystko jedno.

— A cóż to, zmarzłeś tak bardzo, czy co?

— Śmierć przychodzi — czuję to. Przebacz, jeżelim w czem zawinił, przez rany Chrystusa Pana — mówił Nikita łkającym głosem, nie przestając poruszać rękami w taki sposób, jak gdyby muchy opędzał z twarzy.

Brechunow stał chwilę milczący, osłupiały, aż nagle ze stanowczością, z jaką uderzał dłonią w dłoń klienta przy dobijaniu korzystnego kupna, cofnął się o krok wstecz, zawinął rękawy futra i zaczął odgartywać śnieg z ubrania Nikity, a potem wyrzucać go z sanek. Skończywszy ze śniegiem, rozwiązał pas, roztworzył poły ubrania, potrącił Nikitę, który upadł na wznak i sam położył się na nim, okrywając go nietylko futrem, lecz i własnem ciepłem, rozgrzanem ciałem.

Zatykając poły futra między ścianki sani a Nikitą, dół zaś jego przytrzymując kolanami, Brechunow leżał teraz plackiem, wspierając głowę o przód sani i nie słyszał już ani poruszeń konia, ani poświstów burzy, bo przysłuchiwał się jedynie oddechowi Nikity. Chłop leżał początkowo nieruchomy, potem westchnął głęboko i poruszył, rozgrzewając widocznie.

— A widzisz, co? A tyś dopiero o śmierci mówił. Leż spokojnie i rozgrzewaj się. Ja nie tak, jak inni — zaczął ze zwykłą chełpliwością Brechunow.

Ale ku wielkiemu swemu zdumieniu nie mógł dokończyć, bo oczy jego napełniły się łzami, a dolna szczęka szybko drgać zaczęła.

i utarczek pod Dijon. Postać Bosaka, tego szlachetnego wodza-żołnierza, ostatniego prawie, co zeszedł z pola walki w powstaniu 1863 r., a potem odbiegł żonę i dzieci, aby nieść Francyi pomoc przeciw tym, których za wrogów własnej ojczyzny uważał, za mało dotychczas jest znaną, a niewątpliwie Bosak zasługuje, aby grób jego nad brzegami Lemanu zarzucony był zawsze świeżem kwieciem, ręką rodaków znoszonem. Dobrą więc stroną noweli Sewera już jest to samo, że przypomina nam piękną postać Bosaka. Obrócz niego występuje jeszcze w noweli kilka figur pełnych życia: wszystko to polskie rozbitki, oddające swą krew za ideę wolności, której uosobieniem przez długie lata wydawała nam się Francya. Najlepiej z tych figur odznaczają się: pułkownik wśród gradu kól powtarzający: „śmieszna rzecz“ i dzielny wachmistrz Otręba. Obrazy z życia żołnierskiego i z partyzanckiej walki są pełne plastyki. Zdania urywane, krótkie, jędrne, nadają opowiadaniu pewną energią i wyrazistość: styl ten możnaby nazwać żołnierskim, batalijnym. Ale są też i wady. Naprzód rzecz cała jest za rozwlekła, zbyt nuży czytelnika. Możnaby darować epizod z romansową merową, oraz dysputy treści filozoficzno-religijnej, prowadzone pomiędzy porucznikiem a kapitanem. Za to wyborną jest charakterystyka mieszczaństwa francuskiego: przydłuszone przez cezaryzm, nasiąknęło egoizmem za króla mieszczańskiego, a zdemoralizowawszy się za drugiego cesarstwa, kram i zysk uznało za swego Boga. Obok sztucznego patryotyzmu tej sfery, myślącej tylko o zakończeniu w jakikolwiekbądź sposób walki, dobrze zaznaczony jest tłum francuzki, który skutkiem żywości charakteru łatwo wpada w ostateczności: z bezgranicznego przestrachu do brawury bez hamulca i opamiętania. Prócz tego sporo rozrzucił Sewer w tej noweli uwag głębszych, które zupewne nie wszystkie znajdą zwolenników, ale są dowodem umysłowej jego pracy nad wielu zagadnieniami. W każdym razie, jak powiedziałem, nowela jest za długa, przeładowana romantyzmem, sentymentalizmem, i zyskałaby też wiele na amputacyi. Ale czytamy pod nią datę jej napissnia: rok 1876 — i to tłomaczy główną wadę utworu. Sewer rozpoczynał wówczas dopiero swój zawód literacki, borykał się jeszcze z techniką kompozycyjną.

Pomiędzy napisaniem noweli „Na pobojowisku“ a następującej po niej „Maciek w powstaniu“, upłynęło lat blisko dwadzieścia, ztąd „Maciek“ jest już utworem pisarza wyrobionego, mającego zaszczytne stanowisko w literaturze, znającego już wszelkie tajniki formy i kompozycyi. Opowieść to prosta, a wzruszająca. Na odgłos wybuchu powstania włościanie z Mirca w Sandomierskiem zrozumieli swój obowiązek i wstąpili w szeregi powstańcze. Więc i Maciek, choć miał młodą „babę“ wyostrzył kosę i dalej na Moskala! Z niezrównaną plastyką opowiada Sewer przygody swego bohatera, na tle prawdziwych epizodów z walki w Sandomierskiem. Kulminacyjnemi punktami jest utarczka na szosie między Szydłowem i Kielcami, i bitwa pod Wąchockiem; Maciek okazał się nietylko dzielnym kosynierem, ale i wybornym taktykiem, gdyż pomysłem swoim uratował cały oddział (autentyczne). Postać Maćka nie jest bynajmniej zaczerpniętą z fantazyi, Sewer ją tylko artystycznie opracował, a znając dokładnie warunki wojny partyzanckiej, dał nam jej obraz żywy i prawdziwy. Wesoło w nim, zwycięsko, a przecież serce się ściska i nie potrzeba być tkliwą kobietą, aby poczuć łzę w oku. A kto umie ją wycisnąć prostemi środkami, to znać, że jest wirtuozem na strunach uczuć ludzkich..

„Maciek w powstaniu“ stanowi doskonałe przejście do drugiego tomu nowel Sewera. Tłem patryotycznem łączy się on z tomem pierwszym, postacią zaś swego bohatera należy do cyklu noweli i powieści ludowych, które tak niepoślednie miejsce zajmują w twórczości literackiej naszego powieściopisarza.

Nie ujmując często wysokiej wartości utworom tego rodzaju innych autorów, zapisuję tylko własne wrażenie, iż nigdzie typy ludowe nie wydają mi się tak naturalne, tak piękne i poetyczne w prostocie swojej, jak u Sewera. W jego obrazach i słońce świeci jakoś jaśniej, i fale zbóż szemrzą nutą pogodniejszą, zioła i trawy więcej pachną, pieśń ptasząt i żniwiarzy zlewa się w chór harmonijny a serdeczny, a nawet ujemne strony życia obyczajów i charakterów ludowych owiane są pewną poezyą, broniącą przystępu pessymizmowi. A przecież Sewer jest realistą, obserwatorem, skrzętnie zbierającym szczegóły, przecież żaden prawie jego utwór nie jest wynikiem czystej fantazyi, owszem, każdy powstał na tle rzeczywistości. Spytajcie się go, a poda wam rodowód każdego prawie swego obrazka, każdej swojej postaci. Sam on zaznacza, że „nie jest ideologiem i nie lubi pisać ideologicznych bredni — zostawia je młodym poetkom, lub wiekowym powieściopisarkom“. Tylko dodaje: „należy umieć kochać to co jest i szukać poezyi w tem jak jest, a nie kłamać i dla tego, że nie umiemy pisać prawdy, oszukiwać ludzi i siebie“. (Łusia Burlak).

Wyznanie to Sewera tłomaczy najdokładniej ów wdzięk niezwykły jego powieści ludowych. Kocha to, co jest, a ta miłość chroni go przed zgorzknieniem, szuka poezyi w tem, jak jest, a to poszukiwanie, w którem miłość dla ludu służy za przewodnika, przynosi mu w nagrodę trudów nie świecidełka, ale pełno prawdziwych choć drobnych często klejnotów, koło których niejeden przechodzi, nie domyślając się nawet, że ma je pod swojemi stopami. Są one zarosłe zielskiem, które trzeba odsunąć, pokryte rdzą, którą trzeba zetrzeć umiejętnie. Sewer to umie i w tem leży tajemnica jego zdolności jako obserwatora poszukiwana. Ale znaleść to mało — potrzeba to, co znalezione, zebrać, uporządkować, z pojedyńczych drogich kamieni ułożyć deseń poprawny, powiązać je i umocować trwałą oprawą artystyczną. Pozwala mu tego dokonać niepospolity talent literacki. *K. Bartoszewicz.*

(Dokończenie nastąpi).

Nowa powieść Sudermanna.

„Einst warst du der Mann
Heute ist Sudermann“.

Taki epigram został przed kilku laty umieszczony przez jakiegoś dowcipnisia na znajdującym się w Thiergartenie pomniku Goethego. Samo zestawienie Sudermanna, wówczas jeszcze nowicyusza literackiego, z nieśmiertelnym twórcą „Fausta“ daje poniekąd pojęcie o popularności, jaką cieszył się niegdyś wśród publiczności autor „Kumy troski“. Lecz te piękne dni Aranjuezu zdaje się dla Sudermanna już minęły... Gwiazda powodzenia i sławy, która w pełnym blasku przyświecała Sudermannowi, gaśnie z każdym dniem więcej i jeżeli autor ten nie potrafi ze swej krynicy natchnień i talentu wydobyć utworów, które zrehabilitowałyby go w oczach publiczności, a zwłaszcza rozczarowanej krytyki, to grozi mu zajęcie drugorzędnego miejsca w poczcie współczesnych literatów niemieckich. Po „Walce motyli“ i najnowszej powieści „Es war“ krytyka nie może mu w żaden sposób wybaczyć, iż coraz mniej ziszcza pokładane w nim jakieś nadzieje. Publiczność niemiecką zainteresowała właściwie aktualność poruszanych w jego utworach tematów. Cokolwiek da się powiedzieć przeciwko Sudermannowi, trudno mu odmówić talentu chwytania „le boeuf par le corne“, jak mówią Francuzi. Tematy jego są to kwestye, nad któremi łamał sobie głowę każdy, kto zastanawiał się nad sprzecznościami życia. Potrafił on szczerze i w sposób umiejętny wypowiedzieć to, co nieraz uderzało nas w życiu, a nawet wstrząsało całem naszem jestestwem. Lecz

---

Umilkł więc, siląc się połknąć coś, co go w gardle dławiło.

— Przeraziłem się widocznie i dla tego tak bardzo osłabłem — tłumaczył się sam przed sobą. Osłabienie to jednak nietylko nie sprawiało mu przykrości, lecz przeciwnie napawało go szczególniejszą, nigdy dotąd nie doświadczoną rozkoszą.

— Ja — to ja, nie to co inni — powtarzał w duchu z rzewnym jakimś tryumfem.

I długo leżał tak milczący, ocierając oczy o włosie futra i zasuwając pod kolana prawą połę, którą wiatr wciąż odwiewał. Aż nagle ogarnęła go nieprzeparta chęć podzielenia się z kimkolwiek radością, która wypełniała całe jego jestestwo.

— Nikita? — zagadnął.

— Dobrze mi, ciepło! — odpowiedział głos z dołu.

— A widzisz, bracie! I ja o włos nie zginąłem. I ty byłbyś zmarzł i jabym...

Ale znowu zadrgały mu szczęki, wypełniły się łzami oczy i słowa zamarły na ustach.

— To i cóż będę milczał — pomyślał. — Ale sam wiem, co wiem.

Niejednokrotnie rzucał okiem w stronę konia i widział, że grzbiet ma odkryty, bo uprząż i derka włóczyły się w śniegu i że należałoby go okryć, ale nie miał siły opuścić choćby na chwilę Nikitę i zmącić radosne uczucie, jakiego doświadczał. Obawy nie doznawał teraz najmniejszej.

Nikita grzał go ze spodu, futro z wierzchu, a tylko ręce, któremi przytrzymywał poły po obu bokach Nikity i nogi, z których wiatr zrzucał wciąż futro, zaczynały cokolwiek ziębnąć. Ale on o tem nie myślał, troszcząc się jedynie, aby rozgrzać jak najlepiej leżącego pod nim człowieka.

— O, nie wymkniesz mi się, nie wymkniesz! — mówił sam do siebie, mając na myśli, że nie da mu zmarznąć, a powtarzał to z takąż chełpliwością, z jaką opowiadał dawniej o korzystnych dla siebie operacyach handlowych.

I dość długo leżał nieruchomie. Początkowo przesuwały się w jego wyobraźni wrażenia zamieci, hołobli i konia pod derką, to jest tego, co miał przed oczami, a w pamięci tkwił Nikita: potem przyłączyły się wspomnienia o odpuście, żonie, stanowym, pace ze świecami i znowu o Nikicie, który niby znajdował się pod ową paką; dalej zarysowali się mu przed oczami chłopi, od których on kupował i którzy u niego kupowali, białe ściany domów, krytych żelazną blachą, pod którymi znowu ma się niby znajdować Nikita, a potem wszystko się to zmięszało, jedno wrażenie wsunęło w drugie i podobnie jak barwy tęczy łączą się w jeden kolor biały, tak one wszystkie zlały się w jedno wielkie nic i Brechunow zasnął.

Spał długo bez marzeń, na świtaniu dopiero zaczął znowu śnić. Wyobraziło mu się, że stoi u paki ze świecami, a jedna z wieśniaczek chce kupić dziesięciogroszową świecę na ołtarz, on zamierza dać jej żądaną świecę, ale nie może wyciągnąć rąk, które uwięzły w kieszeniach. Chce zajść z drugiej strony paki, ale nogi nie suwają się, a nowe, starannie oczyszczone kalosze jakby wrosły w kamienną posadzkę cerkiewną, ani ich podnieść nie może, ani nóg z nich wyciągnąć. W tem paka ze świecami przestaje być paką, a staje się łóżkiem, i Brechunow widzi siebie, leżącego plackiem na tej pace, to jest na swojem łóżku, we własnym swym domu. Z tego łóżka nie jest w stanie dźwignąć się, a jednak wstać potrzebuje koniecznie, bo oto wstąpi do niego lada chwila stanowy, z którym ma iść las targować, czy też poprawić uprząż na gniadoszu.

Zwraca się nawet z odpowiedniem pytaniem do żony: — No i cóż, nie wstępował tu po mnie? — Nie, odpowiada żona — nie wstępował. — Nagle słyszy, że ktoś zajeżdża pod ganek. — To on zapewne. — Ale nie, ten ktoś pojechał dalej. — Żono, żono, jakto, dotąd go nie ma? — Nie ma. Spoczywa więc dalej na łóżku i wciąż wygląda gościa, a w tem oczekiwaniu tkwi i boleść i radość zarazem. I nagle radość zapanowuje niepodzielnie, bo zjawia się oczekiwany. Jest to wprawdzie ktoś inny, nie stanowy, ale to ten właśnie, kogo wyglądał. Przyszedł teraz i wzywa go ku sobie, a jest tym samym, co nań wpierw już zawołał i kazał mu położyć się na Nikicie. I Brechunow cieszy się, że ten ktoś wstąpił tutaj, aby go zabrać.

już w zaraniu jego tryumfów, wśród chóru krytyk, wynoszących go nową gwiazdę, odzywały się nieśmiałe głosy, utrzymujące, iż autor ten jest meteorem, który wkrótce zgaśnie. Podkreślano wtedy już brak konsekwencyi w jego fabułach. Problematy postawione na ostrzu noża rozwiązywał w sposób przeczący całej poprzedniej akcyi. Same osoby wskutek tego traciły na jednolitości i zostały pozbawione krwi i mięsa. Rzucała się w oczy nieumiejętność wytrwania w tonie do końca, autor, który miał zapanować nad tematem, padał pod jego brzemieniem, tak iż zamiast rozstrzygać, rozcinał. Lecz wszystkie te usterki inteligentna część publiczności wybaczała mu z całego serca, ze względu na zapał, który tryskał z niejednej stronnicy lub sceny. Badając puls chwili bieżącej, chwytając w lot dręczące ją pytania, umiał zarazem wybierać tematy w sposób świadczący o nim jako o człowieku protestu; autor przystępował do życia nie w roli obserwatora i fotografa, lecz jako jeden z niezadowolonych, który chłostał je niemiłosiernie biczem satyry. Wprawdzie nigdzie prawie nie napomknął, jak złagodzić lub usunąć zło; nie potrafił wniknąć głębiej w przyczyny jego istnienia, gdyż nie umiał się wznieść na wyżyny, zkąd można objąć wzrokiem szersze widnokręgi. Lecz niestety i pierwiastek protestu zatraca się u Sudermanna coraz więcej; inne nuty zaczynają przeważać, „der deklassierte bourgeois“, jak go ochrzcił kiedyś jeden z krytyków, przedzierżgnął się w zwyczajnego bourgeois. Nie jest to Sudermann biedny farmaceuta lub literat, utrzymujący się z artykułów zamieszczanych w prowincyonalnych pismach i sprowadzający na pierwsze przedstawienie „Honoru“ swą matkę chłopkę; jest to znakomity pisarz, pędzący żywot pełen wygód w Wenecyi. Już po „Walce motyli“ krytyka konstatowała upadek talentu. Jeszcze większe atoli rozczarowanie ogarnia czytelnika, gdy bierze do rąk jego ostatnią powieść „Es war“. Jeżeli w poprzednich utworach wytykano sprzeczności, to ostatnia powieść roi się od znaków zapytania. Charaktery są mgliste i połowiczne, a całe wykonanie robi wrażenie, jak gdyby dobre chęci szły w najlepsze z opadającemi wciąż siłami autora. Tam, gdzie mu talent niedopisuje, posługuje się efektami. Piękny styl przechodzi w zmanierowanie. Obraz cechuje brak proporcyi; okoliczności i osoby drugorzędne zasłaniają przed okiem czytelnika rzeczy pierwszorzędnej wagi. Jednem słowem, daje się odczuwać brak mistrzostwa formy. Mimowoli ciśnie się do głowy pytanie: czy to jest utwór autora tak uroczej „Kumy troski?“

Wschodniopruski junkier Leon v. Sellenthin, zawięzuje stosunek z panią Felicitas v. Rhaden, żoną swego znajomego. Miłość wychodzi na jaw i staje się przyczyną przelewu błękitnej krwi, co w dalszym ciągu zniewala zwycięzcę Leona do ucieczki do Ameryki. Gdy zaś po kilku latach wraca, przekonywa się, iż jego ukochana poszła śladem tych niepocieszonych niewiast, które po niefortunnej miłości, z rozpaczy — jak się to nazywa — wstępują w legalny związek. Pocieszycielem był w danym wypadku przyjaciel Leona, Ulryk v. Kletzingk. Wprawdzie Ulryk zapytał się kiedyś Leona o to, jakiego rodzaju stosunek łączył go z Felicytas, lecz zagadniony, potrafił dać wymijającą odpowiedź i to wystarczyło Ulrykowi — który w powieści jest przedstawiony jako człowiek rozsądny — do poślubienia Felicytas, pomimo to, iż jej wola w całej sprawie dla ludzi mniej dalekowidzących nie budziła żadnych wątpliwości. Leon, udając się do Ameryki, proponuje swej kochance, by mu towarzyszyła. Rada zdawała się doskonała. Gorszący skandal zamknął przed nią salony jej sfery, narażał ją więc na zbyt silną pokutę za popełnioną winę.

Powróciwszy po kilku latach z Ameryki, gdy jej przestępstwo utonęłoby w potoku zapomnienia, Felicitas mogłaby śmielej zapukać do wrót wyższego towarzystwa. Oprócz tego, samo uczucie miłości nakazywało jej pójść za radą Leona. Urzeczywistniałaby swe marzenia i połączyłaby się dozgonnym związkiem z człowiekiem ukochanym. Nic naturalniejszego nad to. Felicitas jednak nie cofa się przed myślą o rozłące i woli zostać w domu. A więc to kokietka! — nasuwa się pierwsze przypuszczenie. Musi to być zwolenniczka sportu miłosnego, która miłość utożsamia z miłostką i wskutek tego, ani sama nie jest wstanie zdobyć się na ofiarę, ani nie potrafi ocenić czyjegoś poświęcenia. A jednak Sudermann nie może nas zupełnie utrwalić w tem mniemaniu. Felicitas ma być według niego kokietką, w rzeczywistości zaś stoimy przed sfinksem, gdyż niektóre sceny dowodzą tak silnego i szczerego uczucia ze strony bohaterki, iż czytelnik odważa się posądzać autora o lapsus. Taką jak jest w powieści, Felicitas przedstawia połowiczną istotę która przypomina jedną z opisywanych przez Ribota chorób osobowości: bohaterka rozdwaja się w ten sposób w oczach czytelnika, iż staje się zupełnie nieuchwytną. Felicitas, którą nie kosztowało żadnych wysiłków ducha, związanie swych losów z człowiekiem nieukochanym, teraz ponownie zastawia sidła na swego starszego kochanka. Leon był naturą otwartą i gwałtowną. Czytelnik, wnosząc z jego dotychczasowego postępowania, ma prawo oczekiwać, iż Leon, ze względu na swą dobroć, postara się stopniowo zdejmować opaskę z oczów przyjaciela, by go ze zmroku nieświadomości nie wprowadzać odrazu na światło smutnej rzeczywistości. Lecz Leon milczy zupełnie, imputując sobie jakąś winę wobec swego przyjaciela, jak gdyby mężczyzna kochając kobietę, był odpowiedzialnym wobec przyszłych generacyi jej kochanków i mężów. Biedak dręczy się myślą o urojonem przestępstwie wobec tego, który przez swą lekkomyślność zawierzył półsłówkom przyjaciela i na nich ugruntował swój stosunek małżeński. Pokrzywdzonym okazuje się nie cień zabitego v. Rhadena, lecz osoba żyjącego przyjaciela. Następuje cały szereg scen, w których występują osoby zarzucające Leonowi jego nieszczerość. Zdawałoby się, że powinien zdjąć już nareszcie z ust swych pieczęć milczenia, tembardziej, że go trudno zaliczyć do małomównych, jeżeli weźmiemy pod uwagę jego dysputy z kochanką o przestępstwie i karze oraz o innych budujących ducha tematach, a jednak Leon wciąż milczy. Postanawia wreszcie odebrać sobie życie wraz z ukochaną kobietą i w chwili gdy odwiedza ją po raz ostatni w jej sypialni, zostają oboje zaskoczeni przez Ulryka. Biedna bohaterka, znajdując się przez długi czas pomiędzy młotem a kowadłem, razi nas mniej swemi sprzecznościami i poczęści budzi w nas sympatyę. Lecz to wprowadza nas w kolizyę z autorem, który każe dwu przyjaciołom po zaniechaniu pojedynku, wypędzić ją na cztery wiatry. Nie jesteśmy pewni, czy nie spotkamy jej kiedyś „Pod Lipami“ lub w Café Keck w kapeluszu à la Rembrand i białych rękawiczkach. W powieści znajdujemy oprócz tego wiele epizodów rażących swą nienaturalnością. Występuje tam student, w którego osobie ma być ośmieszonym piwoszbursz, jest to atoli tylko karykatura. W powieści występuje między innemi podlotek Hertha, wychowywana na żonę dla Leona. Dziewczynka ta czerwieni się przy spotkaniu z psem Leona, gdyż zwierzę to było świadkiem ich pocałunków. Bezmyślnem byłoby odmawiać Sudermannowi daru spostrzegawczego. Idzie o to, że wiele rzeczy które mogłyby nas pogodzić z autorem, jest niewypowiedzianych, wskutek czego niektóre ustępy robią wrażenie dziwolągów i wybryków. Niedopasowują się one do ogólnego tła powieści i mimowoli rzucają w oczy najmniej wybrednemu czytelnikowi.

Urb.

— Idę! — woła radośnie w odpowiedzi, a własny głos budzi go ze snu.

Budzi się więc, ale teraz jest już innym zgoła człowiekiem. Chce wstać i nie może, probuje ręką poruszyć, ręka odmawia mu posłuszeństwa, posuwa nogą i noga spoczywa nieruchomie. Chce nakoniec głowę zwrócić w bok i tego uczynić nie może. Dziwi go to wszystko, ale nie martwi. Zdaje sobie jasno sprawę, że to śmierć, ale i to go nie przygnębia. Przypomina, że pod nim leży Nikita, który się ogrzał, żyje i zdaje mu się, że on jest Nikitą, a Nikita nim i że własne jego życie tkwi w tym, kogo od śmierci uratował.

Wytęża słuch i łowi uchem nietylko oddech Nikity, ale nawet lekkie jego chrapanie.

— Żyjesz? a więc żyję i ja! — woła z tryumfem. I coś zgoła nowego, coś, czego nie doświadczał nigdy w życiu, pierś mu teraz podnosi.

Przychodzą mu na myśl pieniądze, sklep, dom, kupna, sprzedaże i miliony Mironowa i trudno mu pojąć dla czego człowiek, którego zwano Bazylim Brechunowym, tak żywo zainteresował się tem wszystkiem.

— Ale cóż dziwnego — myśli dalej o tymże Brechunowie — wszak nie wiedział, w czem tkwi istota rzeczy. Lecz jeżeli nie wiedział dawniej, to ja teraz wiem. Teraz już nieomylnie, teraz wiem.

I znowu rozlega się nad nim głos, który go już raz wzywał.

— Idę, idę! — woła z radośnem wzruszeniem całe jego jestestwo. I czuje naraz, że jest teraz doskonale wolnym, że go już nic zgoła nie krępuje.

I nic już więcej, po nad to nie widział, nie słyszał i nie czuł na tej ziemi Bazyli Brechunow.

Dokoła tak samo kłębiły się tumany śniegu, a wicher zasypywał w dalszym ciągu futro zmarłego Brechunowa i drżącego na całem ciele gniadosza i zaledwie już widoczne sanie i Nikitę na dnie ich leżącego i rozgrzanego pod zimnym trupem pana.

X.

Nikita otworzył oczy nad ranem. Rozbudził go chłód, który znowu zaczynał przebiegać po jego plecach. Śniło mu się, że wioząc furę gospodarskiej mąki z młyna, ominął most i wóz jego ugrzązł w błocie. I widzi siebie dalej, jak podpełza pod wóz i usiłuje go podnieść, wyprostowując zgięty grzbiet. Dziwna atoli rzecz: wóz nie daje się wcale zruszyć z miejsca, a co gorsza, przylgnął do jego pleców, on zaś ani unieść go nie może, ani z pod niego się wydostać. Krzyże ma całkiem zgniecione. A jaki zimny ten wóz! Eh, wyleźć trzeba koniecznie.

— Zaprzestań, dość! — zwraca się do tego kogoś, kto mu krzyże przygniata wozem.

Worki — zrzucaj!

Ale wóz dławi go wciąż wzrastającem coraz bardziej zimnem. W tem rozlega się jakieś osobliwsze stuknięcie. Nikita całkiem się budzi i wszystko sobie naraz przypomina. Lodowaty wóz, to martwe, zamarzłe ciało gospodarza, które na niem leży, a stuknięcie, to zapewne odgłos kopyt gniadosza, które uderzyły dwukrotnie o sanie.

— Gospodarzu, hej gospodarzu! woła ostrożnie, przeczuwając już smutną prawdę Nikita i natęża plecy.

Ale gospodarz nie odpowiada, a jego tułów i nogi, twarde i zimne, ciężą jak ciężkie wagi.

— Umarł widocznie. Świeć Panie nad jego duszą, pomyślał Nikita.

Wykręca głową, przekopuje ręką śnieg przed sobą i patrzy. Jasno. Ale wiatr tak samo gwiżdże na hołoblach i śnieg tak samo sypie, tylko teraz nie smaga już z boku, ale zasypuje bezdźwięcznie coraz wyżej i wyżej sanie i konia, który ani się porusza, ani oddycha.

— I on zapewne już zmarzł — myśli Nikita. Jakoż rzeczywiście uderzenia kopyt, które zbudziły Nikitę, były ostatnią próbą utrzymania się na nogach całkiem już zesztywniałego gniadosza.

— I mnie, widać, już wołasz do siebie, Boże ojcze — szepce Nikita. — Niech się dzieje święta wola twoja. A jednak ściska się serce. Ale cóż robić, przez dwie śmierci człowiek nie przechodzi, a jednej nie uniknie. Byle tylko prędzej...

Wiązanki literackie.

Kraszewski jako publicysta.

My, Polacy, nie zdołaliśmy jeszcze wyrobić w sobie tej czci dla koryfeuszów piśmiennictwa narodowego, jaką mają n. p. Francuzi, którzy czytają i odczytują swoich wielkich pisarzów i twórców stylu, zaczynając od Rabelais'go, Montaigne'a lub Pascal'a i kończąc na romantykach; badają ich, komentują, piszą studya oświetlające ich dzieła z coraz to nowej strony, a dzięki temu poszanowaniu dla wielkości, dzięki wychowaniu młodych pokoleń na starych wielkich wzorach, doprowadzają formę swoich utworów do owej doskonałości, która tak nas zachwyca, tak ułatwia czytanie książek francuskich i tak wpływa na wszechświatowe znaczenie literatury francuskiej.

My nie mamy prawie tradycyi literackiej, a tak przyzwyczajeni jesteśmy odwoływać się do obcych powag, że, nie znając, już lekceważymy swojskie utwory. Jakże często zdarza się, że nawet ktoś, piszący o pewnym przedmiocie, nie wie, kto i co pisał już o nim po polsku! Czytający zaś więcej po polsku — traktują nieraz pisma jako rzecz sezonu i mody.

Gdy minie sezon modny, książka idzie w kąt, i okryta gęstą warstwą kurzu, czeka na historyka literatury. Prawda, że niewiele jest dzieł, które mogą zająć jeszcze stanowisko pośrednie między temi dwoma, t. j. mogą być czemś więcej niż przedmiotem mody i bibliografii. Za ideał każdej literatury narodowej uważać można wytworzenie pewnego rodzaju arcydzieł, któreby dawały wykształcenie wszechstronne co do formy jak i treści. Literatura, z której możemy zebrać taką biblioteczkę dzieł wybranych, obejmujących poezyę i wymowę, dziejopisarstwo i filozofię, publicystykę i prozę naukową, jest niezawodnie nietylko rękojmią dobrego smaku i wyrobienia przyszłych pokoleń pisarzy, ale żywotności narodu i wychowania czytelników.

Jakkolwiek uboga, literatura nasza nie jest pozbawiona takich utworów, i gdyby nie zaznaczony wyżej nałóg lekceważenia wszystkiego, co swojskie, znaleźlibyśmy nietylko wśród poezyi, jednej gałęzi, w której dawni pisarze jeszcze są czytywani — chociaż, pomimo nawet licznych tanich wydań, w nierównie mniejszym stopniu niż na to zasługują — znaleźlibyśmy i w prasie naukowej niemało rzeczy, które można wcielić do takiej „wiecznej“ biblioteczki wyborowej.

Taki pisarz n. p. jak Kazimierz Brodziński w innej literaturze byłby niezawodnie jednym z tych, którego znajomość należałaby do niezbędnych dla każdego zaczynającego poważniejszą lekturę młodzieńca, a tem bardziej gotujących się do zawodu literackiego. A czy wielu u nas jest literatów z najmłodszego pokolenia, którzy czytali prozę Brodzińskiego?

Stojący na pograniczu między klasycyzmem a romantyzmem, łączący zalety obu obozów, jest zarówno bliski nam duchem, jak czysty w formie. Ileż to mniej znacznych pisarzów w innych literaturach pełniło rolę wychowawców dla całych pokoleń.

Jeszcze w większym stopniu stosuje się to do Kraszewskiego, którego „Wybór pism“ obecnie wychodzi pod redakcyą Piotra Chmielowskiego. Oddział IX p. t. „Zarysy społeczne“ (Warszawa, Lewental 1894), obejmuje artykuły publicystyczne i polityczne od r. 1837 do 1861.

Jeśli kto z pisarzów naszych dźwigał na barkach swoich ciężar wychowania narodu, jeśli kto umiał uczynić ofiarę z naturalnego popędu wszelkich umysłów wyższych do tworzenia wykończonych arcydzieł, do skupienia się w jednym zakresie i zostawienia w nim pomnikowego arcytworu, ofiarę dla tego wielkiego zadania — rozlewania świateł na masy w najszerszym zakresie; jeśli kto w poczuciu obowiązków względem swego społeczeństwa i ogromu zadania do spełnienia rozproszył swój wielki talent, rzucając go naprzemian we wszystkie dziedziny literatury, to nikt nie uczynił tego w takim stopniu, jak ów kolos pracy i płodności, który przez cały długi żywot umiał dostrajać mowę swoją do zagadnień życia, który niepodobny do tylu innych długowiecznych pisarzów zapomnianych za życia, nie przestał przodować literaturze aż do chwili zgonu.

A dziś? Czyż słusznem jest to zapomnienie, które od razu otoczyło jego mogiłę?

Prawda, nie zostawił Kraszewski żadnego arcydzieła pierwszorzędnej miary; ale w tej masie pism, które stanowią jego spuściznę literacką znalazłoby się materyałów nie na jeden tomik „Złotych myśli“, czytanie zaś jego dzieł niezawodnie byłoby przyjemniejsze i bardziej kształcące, niż wielu efemerycznych produkcyi chwili bieżącej.

Nie był Kraszewski nigdy krańcowym postępowcem, ale był sprawiedliwy; zawsze umiał zachować miarę, wszędzie poza słowem szukał istotnej treści, między przeciwnościami mniemań — prawdy.

„Dla czego, wołał on, nie chcecie okiem prawdziwej filozofii z jednej strony, z drugiej okiem chrześcian prawdziwych spojrzeć na siebie? Dla czego nie przyznacie sobie prawdy, gdzie jest prawda, aby razem wytępić fałsz zastarzały, kędy on jest? Dla czego miasto kłócić się o słowa, nie dobijacie się myśli? Wypadki filozofii, które wyraża socyalizm, nie sąż wypadkami ewangelii? Chcecie braterstwa, miłości, dobra dla wszystkich, a zwłaszcza dla tych, co cierpią wieki przez odwieczne niedołęstwo lub samolubstwo. Czegoż innego żąda i co nakazuje ewangelia? cóż przyszedł opowiadać Chrystus? Wielkie i za nowe dziś uważane słowa: ludzkości, postępu, braterstwa, miłości, pierwszy raz prysnęły ze krwią krzyża Golgoty“.*)

Bardziej lokalny charakter mają „Choroby umysłowe XIX wieku“. Przebiega tu autor po porządku: Encyklomanię czyli „żądzę wiedzenia i umienia wszystkiego, odziedziczoną po matce Ewie“, Legofobię czyli obawę książek; próżniactwo — chorobę endemiczną krajów słowiańskich: tetanoę czyli skołowacenie, zatrzymanie umysłowe, gorączkę paskwilliczną itd.

Trzecie miejsce zajmuje obszerniejszy artykuł p. t.: „Synowie wieku“ (1842). Jest to charakterystyka typów spółczesnych, które nie w nader ponętnych barwach wychodzą z pod pióra autora. Dostaje się zwłaszcza kobietom postępowym:

„Lecz jestże dla kobiety emancypacya jaka po emancypacyi chrześciańskiej do żądania i uczynienia? Wszystko, co zrobić było można, zrobił dla niewiasty Chrystus“.

„A jednak patrzcie, jak poklaskują bezrozumni, gdy kobieta wychodzi z granic swego przeznaczenia, domowego koła, gdy zdziera z siebie tajemniczą zasłonę (!?) i śmiała, bezwstydna (?) wchodzi między nich“ i t. d. (str. 94—84).

Czwarty ustęp p. t. Rodzina jest obszernem sprawozdaniem z dzieła francuzkiego Béchard'a (1850). Pod tytułem „Gospodarstwo“ znajdujemy sprawozdanie z 18 tomów roczników gospodarstwa krajowego (1842—1851). — „Wieczory z r. 1858“ zajęte są w przeważnej części opisaniem Wołynia; urywek o zbytku dotyczy stosunków spółczesnych.

„Społeczność dzisiejszą, czytamy tu, na dwa wielkie można rozdzielić obozy: w jednym jest samo zaprzątnienie zysku i grosza, w drugim — komedya dostatku i zbytek, choroba pieniędzy i zaraza rozpusty. Niekiedy dwie te słabości łączą się w jedną i pierwsza jest tylko przygotowaniem do drugiej“.

„Pieniądz i jego użycie oto zadanie wieku“.

„Co gorsza, dorobiliśmy sobie wszelkiego rodzaju teorye do naszego stanu, teoryę utylitarną do handlarstwa i spekulacyi, teoryę estetyczną do zbytnictwa...“ (193).

Artykuły z „Gazety codziennej“ z r. 1859 i 1860 potrącają o rozmaite przedmioty spółczesne lub historyczne. Znajdujemy tu i relacye ironiczne z seansów i pism spirytystycznych oraz rozmów z duchami, których nigdy nie brakło.

„W odczytach o cywilizacyi w Polsce“ spotykamy wiele pięknych i trafnych myśli. Prześliczną zwłaszcza jest charakterystyka pieśni ludowej i wyjaśnienie idei podań.

„Pieśń nie ma właściwie dziejów“ — powiada autor — lecz u ich źródła się mieści; bo ludu będąc własnością, dziś jeszcze lud tworzy ją tak prawie, jak śpiewał przed lat tysiącem; lud nie ma historyi, więc i pieśń jej mieć nie może. Możnaż powiedzieć, by dotąd w istocie stan wieśniaczy miał swe dzieje, miał swe życie?“

„Miłość i wesele, wojna, śmierć i pogrzeb, życie zaświatowe, oto tematy, na których pieśń przędzie się cała; dodajmy okolicznościowe i obrzędowe śpiewy, a cały ich zakres obejmiem“. (Str. 302.)

O bajecznych dziejach tak się odzywa Kraszewski:

„Lud z ubiegłych swych przygód tworzy to, czego dusza jego pragnie: ideał swój dziejowy. Prawda w nich nie absolutna, nie kronikarska, ale duchowa“ (str. 305).

*) Przedmowa do „Sfinksa“, r. 1846.

I cofa napowrót rękę, zamyka oczy i traci świadomość w tem przekonaniu, że teraz już naprawdę i ostatecznie umiera.

W południe następnego dopiero dnia chłopi odgrzebali łopatami Brechunowa i Nikitę na odległości 60 metrów od gościńca, a pół kilometra od wsi.

Śnieg głęboko wchłonął był sanie, ale hołoble i uwiązana na nich chustka jeszcze były widoczne. Gniadosz tonąc po brzuch w śniegu, stał całkiem biały, z suniętą uprzężą i derką, z martwą głową przygiętą ku zesztywniałej szyi, z nozdrzy jego zwieszały się sople, oczy pociągnęły szronem i obmarzły niby łzami. Tak bardzo schudł w ciągu tej jednej nocy, że tylko kości i skóra z niego pozostały.

Brechunow zastygł, jak zamrożony niedźwiedź i jak leżał na Nikicie z rozsuniętemi nogami, tak i zrzucono go w śnieg. Wypukłe, jastrzębie jego oczy, otoczone były także lodem, a szeroko otwarte pod przystrzyżonym wąsem usta napełniał śnieg. Nikita zaś żył jeszcze, chociaż miał całe ciało omarznięte. Gdy go zbudzono, był święcie przekonany, że już nie żył i że to wszystko, co się z nim teraz działo, działo się już na innym jakimś świecie. Skoro jednak usłyszał wołania chłopów, którzy go odgrzebywali i zrzucali z niego Brechunowa, zdziwił się na razie, że i na tamtym świecie chłopi umieją tak samo krzyczeć, jak na tym, a kiedy zrozumiał nakoniec, że znajduje się wciąż jeszcze na ziemi, raczej zafrasował się tem, niż ucieszył, zwłaszcza gdy dostrzegł, że u obu nóg ma odmrożone palce.

Dwa miesiące leczył się Nikita w szpitalu. Trzy palce wypadło mu uciąć, inne się zagoiły, mógł więc ponownie wrócić do pracy i przeżył jeszcze lat dwadzieścia, początkowo jako parobek, a potem na starość jako stróż.

Umarł dopiero w roku bieżącym we własnej chacie, jak tego zawsze pragnął, z płonącą gromnicą w ręku, pod obrazami świętych. Przed śmiercią prosił żony o przebaczenie i sam jej przebaczył bednarza, poczem pożegnał się z synem i wnuczętami i umarł, szczerze się ciesząc, że śmiercią swoją uwalnia syna i synowę od ciężaru żywienia go łaskawym chlebem i że teraz naprawdę przejdzie z życia, które mu już ciężyło, w inne, które z każdym rokiem stawało się dlań zrozumialszem i ponętniejszem.

Lepiej czy też gorzej mu tam, gdzie się zbudził po śmierci; spotkało go rozczarowanie, czy też znalazł wszystko tak, jak sobie wyobrażał — o tem każdy z nas w niedługim dowie się czasie.

KONIEC.

Artykuły z „Gazety codziennej“ z r. 1861 poświęcone są przeważnie sprawozdaniom z ruchu literackiego. Znajdujemy tu między innemi ustęp, świadczący o zapatrywaniu się Kraszewskiego na sztukę:

„Romans Temmego — powiada on z powodu jednej z ówczesnych powieści niemieckich — należy do potępionych u nas tendencyjnych, ale najlepsze romanse dawne równie są niemi jako dzisiejsze. Znajdziemy tendencyę w Heloizie, w Clarissie, nawet, jeśli chcecie, a dawniej od tego wszystkiego, w Don Kiszocie. Głównie idzie nie o to, by tendencyi nie było, ale aby ona nie szkodziła artystycznej wartości i nie pochłonęła jej sobą, aby była szczerą, nie obrachowaną“. (Str. 419.)

Niemniej słuszną jest i ta druga uwaga, której niestety, do dziś dnia nie chce uwzględnić wielu autorów i autorek:

„Od niejakiego czasu przestaliśmy wierzyć w książki zastosowane do wieku, płci i stanu. Są one rodzajem nieprzyjemnego lekarstwa, które się tylko z musu bierze“. (Str. 445.)

Zanadto był Kraszewski wrażliwy, jako poeta, a za mało mógł wyrobić w sobie zalet męża stanu, aby raz przyszedłszy do pewnych przekonań społecznych, wytrwać przy nich bez zmiany. Ale za to wszystkie tętna postępowe chwili, w której żył, znalazły dźwięczny odgłos w jego umyśle i jego pismach. Myśl o zbliżeniu między ludem a szlachtą, o równości obywatelskiej, występuje jaskrawo w jego powieściach, jak „Historya Sawki“, „Ulana“, „Ostap Bondarczuk“, „Budnik“, „Jaryna“; później gdy nastąpiła reakcya, daje się dostrzedz pewne wahanie, zrozumiałe zresztą aż nadto po wypadkach galicyjskich. W „Żadowej Pieczarze“ (r. 1852) idealizuje Kraszewski, patryarchalny byt Słowian. Ale już w r. 1858, gdy kwestya wyzwolenia włościan wstąpiła na drogę praktyczną, odbija się nowe usposobienie w powieści jego p. t. „Historya kołka w płocie“. W r. 1861 wydaje broszurę, poświęconą głównym zagadnieniom chwili bieżącej, a w r. 1862 rozpoczyna wydawnictwo dziesięciogroszowej biblioteczki ludowej.

Z umieszczonych w tym tomie prac trzy: „Asmodeusz“, Choroby wieku“ i „Synowie wieku“, należą do wcześniejszej daty (1837—1842) i wyróżniają się bardzo od następujących zarówno treścią, jak tonem.

Co do pierwszej widzimy w niej przewagę zagadnień ogólno ludzkich i wieczystych nad temi, które dotyczą kraju i doby bieżącej, i to tak dalece, że większość ustępów „Asmodeusza“ nie straciła swojej aktualności i dziś po upływie lat 58miu.

Mówimy dziś wprawdzie innym językiem i innym tonem, w innych objawach widzimy upadek, a w innych postęp; ale w istocie swojej jakże mała różnica między narzekaniami tych, którzy szukali jakichś wyższych celów w życiu przed laty 60ciu, i tych, którzy nie zadawalniają się teraźniejszością dzisiejszą!

Jakże mało świat się przekształcił! Zdaje się niekiedy, że dość jest zmienić kilka nazwisk i dat, i można przedrukować w zastosowaniu do chwili bieżącej cały szereg ustępów z „Asmodeusza“.

A może to pokrewieństwo duchowe obu epok sprawia takie złudzenie. Bo przeciwnie, listy z Mokotowskiej ulicy lub listy z podróży, pisane w dwadzieścia parę lat później, sprawiają dziś wrażenie jakiejś odległej, prawie bajecznej epoki.

Porównajmy pod tym względem odpowiednie rzeczy z publicystyki francuskiej, np. „Questions de mon temps“ Emila Girardina, publicysty również wrażliwego, również nie stałego jak Kraszewski, również łatwo odzwierciedlającego każdy przeważny prąd chwili bieżącej. Jakaż tam żywotność zagadnień, jaka pełnia życia i chwilowej aktualności w każdym artykule!

Zkąd ta różnica?

Bo we Francyi społeczeństwo żyło wówczas prawdziwem życiem umysłowem i politycznem, bo w łonie jego wyrabiały się ideały, które niebawem miały się urzeczywistnić, a publicystyka, będąc odbiciem tego jawnego lub utajonego życia, schodziła do szczegółów, do zagadnień konkretnych chwili bieżącej, do interesów dnia.

U nas zycia takiego nie było, publicystyka służyła tylko celom popularyzacyi i szerzenia wykształcenia — zadaniu, które i dziśby jeszcze mogła pełnić z korzyścią dla ogółu — stała więc na wyżynach oderwanych, odbijała to, co zawsze jednakowe, bo płynie z wiecznej i niezmiennej natury ludzkiej, nie zaś z charakteru danego człowieka lub danej chwili.

Kraszewski zostaje tak dalece na owych wyżynach, że w „Asmodeuszu“ nawet wcale nie potrąca o stosunki krajowe. Ztąd też owa pesymistyczna prawda słów „Asmodeusza“, że w istocie wszystko zostało tem samem.

Kiedy Kleofas z Asmodeuszem zawisają nad Paryżem, pierwszy, chcąc czemkolwiek zbić ironiczny pesymizm drugiego, wskazuje mu udoskonalenia i zmiany, jakie zaszły od czasów, gdy pisany był „Le Diable boiteux“.

— Nic osobliwego nie widzę, — odpowiada szatan.

— Jakto? i nie widzisz, co tu porobiła para, ów cudowny wynalazek, który tyle machin obraca naokoło, tyle siły i czasu oszczędza?

— A powiedzże mi wprzódy, jakeście użyli oszczędzonych rzeczy; wówczas będę się dziwił i chwalił. Siłę ludzką i czas ludzki zbywające, gdzieżeście obrócili? Daliżeście im jakie lepsze zatrudnienie od dawnych, bardziej szlachetne, korzystniejsze dla ich szczęścia? Spójrz-no w okolice Lyonu! nie sąż-to tłumy głodnych i biednych wyrobników, których bankructwo Ameryki, a w części niedostatek zatrudnienia — próżniactwa, pijaństwa i rozbojów uczą? Jestto użytek z oszczędzonych czasu i siły? (str. 6).

Albo ten ustęp o piśmiennictwie, dogadzającem czytelnikom, o spekulacyi wydawniczej: „Subskrypcye stały się loteryami, na które prenumerują dla prym wielkich, lub zegarka z łańcuszkiem. Każde pismo peryodyczne, wprzód, nim ustali ducha, tendencyą i charakter, nim się na świat wychyli, ma towarzystwo akcyonaryuszów, które czuwając nad swojemi zyski, myśli tylko o uczynieniu pokarmu smacznym, nie zaś zdrowym“. (str. 17).

Albo owe narzekania na literaturę trującą, na widowiska demoralizujące, przyczem za demoralizatorów i trucicieli wystawiają się (pożal się Boże!) tacy, jak Hugo, Dumas, Sand! Jakież to ponure przepowiednie przyszłości:

„Wszystkie zbrodnie, kolorowane starannie, znalazłyby obrońców, co mówię: nawet panegirystów, powiada Asmodeusz. A piekło i ja cieszymy się niewymownie. Samo pijaństwo, pod tylu poetycznemi formy jakichś nadziemskich szałów pewnie więcej zyskało prozelitów, niżeli ich straciło staraniem towarzystwa wstrzemięźliwości. Literatura zepsuta jest jak owa trucizna XVI wieku; można ją dać na upodobany czas; zabije na godzinę lub na sto lat. Nie ujdzie wam bezkarnie ta chwila szału“... (str. 19-ta).

Dalej idą reklamy, samobójstwa, spowodowane przez żądzę użycia, pojedyncze i zbiorowe lub z miłości nieszczęśliwej.

— Idźmy ztąd, — woła Kleofas, — gdy mu szatan pokazuje mającego zabić się z miłości poetę, — to okropne!

— Prawda — odpowiedział szatan. Dawniej byłby się zamknął w celi klasztornej, dziśaj w łeb sobie strzeli. Petrark zestarzał się z miłością niezaspokojoną w sercu. Abeillard umarł, pisząc do Heloizy, lecz oni nie dziś żyli, mieli oprócz miłości inny cel, inną myśl w życiu“... (str. 35).

„Listy z Mokotowskiej ulicy“ i „Listy z podróży“ (1861) poświęcone są przeważnie polityce. Pierwsze traktują o niej na podstawie broszur i dzienników zagranicznych, drugie oparte są na obserwacyi bezpośredniej. Są to najżywotniejsze i najświeższe kartki z całego tomu, kartki poświęcone wypadkom tak ważnym jak odrodzenie Włoch, sprawy wschodnie, wojna amerykańska i t. d. Mają one ten urok, jaki zawsze wywiera historya swego czasu pisana przez spółczesnego, świeża i pełna barw lokalnych i czasowych, z których ją odzierają stopniowo Dzieje, wcielając karta za kartą do swojej księgi i objektywizując przez perspektywę lat i wieków.

Tom ten polecamy każdemu, kto zbiera biblioteczkę pisarzów swojskich: wertowanie jego sprawi przyjemność jednym, budząc wspomnienie odległych, przeżytych w młodości czasów, naukę dla innych, wykazując jak się zmieniają poglądy na wypadki, jak powracają dawne prawdy i dawne błędy, a dla wielu dziś jeszcze lektura ta będzie kształcąca, gdyż niejeden przesąd, z którym walczył niegdyś Kraszewski, trwa dotąd w swojej sile wśród pewnych warstw społecznych.

Wł. M. Kozłowski.

NA WYŁOMIE.

(Dublańczycy na wystawie. Błędna organizacya gościnności. Zapomniano o Sokołach. Wskazówki na przyszłość.)

Ubiegły tydzień wystawowy nosił etykietę Dublan. Niebieskie mundury galicyjskiej młodzieży snuły się po wystawie wstęgą błękitną, lub zbite w bukiety niezapominajek zdobiły pawilony i kawiarnie. *Russische Offiziere!* — mówili Niemcy, a inni z trwogą pytali, czy to polska armia.

Nie wiem, czy studentów dublańskich zbudował nasz przemysł i rolnictwo nasze, ale zdawało mi się, że wywieźli oni wrażenie pewnego chłodu i opuszczenia, że pokazano im tysiące maszyn, pługów, bron i siewników, ale nie pokazano gorętszego serca, że pieszczono ich ucho melodyą marszów, mazurów i walców, ale nie zanucono im filareckiej pieśni młodzieńczego entuzyazmu. A przecież to *młodzież* zawitała do nas, — nie tyle agronomi łaknący nauki, ile garść duchów wiosennych szukających ognia, serca, płomiennej poezyi i dum brylantowych na kresach narodu. Niechaj „Dziennik Poznański“ nie nadrabia miną, pisząc w straszliwie stylizowanym artykule, że „Dublańczycy czasu nie marnowali i zrobili prawdziwie naukową wycieczkę“, bo my wszyscy bez wyjątku mamy to uczucie, że w tej pierwszej wizycie galicyjskich gości była jakaś pustka, jakiś ambaras, jakieś twarde melodye i zepsute klawisze. Toż nawet „Kuryer Poznański“, któremu każdy gorętszy objaw uczucia wydaje się grzeszną tromtadracyą, a każda iskra młodzieńcza zarzewiem pożaru, zdobył się na szczere wyznanie, że młodzież dublańska „potężnie się wynudziła“ w Poznaniu. Gdyby ta wycieczka galicyjskich gości była pierwszą i ostatnią, nie szukałbym winnych, bo odgrywać rolę prokuratora, gdy czerwiec śmieje się słońcem, wonią róż i falą kłosów rozkołysanych, kuszącem nie jest zadaniem. Ale ponieważ Dublany są podobno przednią strażą całej armii galicyjskiej, która w odwiedziny do naszego zawita obozu, więc dla zrehabilitowania poznańskiej gościnności, muszę znowu pióro na szpadę zamienić. — Kto winien? W pierwszej linii gospodarze domu, a raczej to grono osób, które na własną rękę zorganizowało przyjęcie. Nie wiem, czy polityczne uprzedzenia, czy osobiste niechęci, czy nadmierne zaufanie do własnych sił, czy wreszcie „lari-fari“ poznańskie odegrało rolę w tem dublańskiem święcie, — dość, że panowie gospodarze zamknęli w ciasnem kółku działalność swoją i nie powołali szerszych kół obywatelstwa a mianowicie młodszej inteligencyi do pracy organizacyjnej. Mnóstwo osób kochających młodzież gorąco, mnóstwo rówieśników dublańskich studentów dowiedziało się dopiero nazajutrz po przybyciu gości o sympatycznych odwiedzinach, a nie znając ani rozkładu poszczególnych momentów wizyty, ani miejsca i godziny wspólnych rozrywek, szukało napróżno zetknięcia z gronem młodzieży. Inni znów upatrywali w postępowaniu „gospodarzy domu“ tendencyą usuwania ludzi dobrej woli lecz innego obozu od galicyjskich gości i chęć otoczenia błękitnych Dublańczyków ludźmi jednej koteryi, a w takich warunkach ten i ów szukał młodzieży i znaleść jej nie mógł, trzeci zaś i czwarty oświadczał bez ogródki, że „nie myśli się wpraszać“ do panów gospodarzy.

I zdziwiło wszystkich, że organizatorzy przyjęcia zapomnieli zupełnie o istnieniu „Sokołów“ w Poznaniu. Toż drużyna sokola byłaby z całej duszy powitała galicyjskich gości, a młodzież dublańska przy dźwiękach sokolskiej kapeli, w otoczeniu sokolskich mundurów i w atmosferze sokolskiej wieczornicy byłaby odetchnęła tem życiem słonecznem, tym zapachem wiosny i młodych uniesień, których pragnie dusza dwudziestoletnia. Nikt nie postarał się zkomunikować z drużyną sokolą, a przecież taka wieczornica serdeczna, pełna pieśni i płomieni mogła stać się wspaniałym momentem wystawy i jednem z najmilszych wspomnień dla dublańskich gości. A Sokoły to serdeczne chłopcy! Pokochawszy braci galicyjskich, byliby chętnie przy nich straż honorową pełnili, luzując małą garstkę gospodarzy, którym zmęczenie, obowiązki familijne i zawodowe, a w części i wiek nieodpowiedni ciążyły jak kula u nogi.

Dość, że błękitnym mundurom było tu cudzo na poznańskim gruncie. Nieraz wieczorem snuła się ta gromadka po ulicach samotnie i pytała przechodniów o drogę, a jeden z szczerszych młodzieńców oświadczył podobno melancholijnie, że Poznań wydaje mu się sennym, zimnym i starym. Nie skłamał Dublańczyk, ale zdaje mi się, że wrażenie to, na ogół prawdziwe, może za silnie ozwało się w młodzieńczem sercu, bo lubo płomieni u nas mało, to przecież palą się jeszcze gdzieniegdzie, tylko ich przelotna drużyna dla nieszczęśliwej formy przyjęcia dostrzedz nie mogła. Nie chciałbym, aby galicyjskich gości durzono dekoracyami sztucznemi i fałszywym jednodniowym blaskiem, ale z drugiej strony żalby mi było, gdyby ten gród nasz wydał im się skąpany cały w Rembrandtowskich tintach, a *„plein air'u“* życia nie ujrzeli wcale.

To też na przyszłość, gdy znowu do nas w gościnę przybędę bracia z nad Wisły lub Pełtwi, Poznań inne oblicze ukazać powinien upragnionym gościom. Nie chciałbym, aby słowa moje uraziły lub rozgoryczyły któregokolwiek z naszych hetmanów i aranżerów, bo przecież nasi „nieomylni“ raz wreszcie wyleczyć się powinni z chorobliwego nałogu szukania w każdej krytyce żółci, osobistych niechęci i tym podobnych fałszywych intencyi. Pragnę gorąco, aby ta wystawa, której nadano niemieckie piętno, i z której dziś jeszcze zrywają biało-czerwone chorągiewki, stała się przynajmniej nowem przymierzem i nowem zbrataniem trzech słupami granicznemi rozdartych zaborów, pragnę, aby tam, gdzie przemysł polski tryumfować nie może, tryumfowała przynajmniej idea narodowej jedności, i pragnę, aby wielkopolska ziemia ofiarowała gościom swoim z Galicyi i Królestwa wiele serca i wiary. Niech te drużyny ukochane widzą, że my nie umarli jeszcze w straszliwej walce z germańskim polipem i nie wyziębli jeszcze w lodowniach lojalizmu, i niechaj biorą i dają nam miłość, aby ona jak wąż ognisty opasała trzy zabory — jeden naród.

Więc bez gniewu i bez uprzedzeń panowie geronci! Walka nasza polityczna, społeczna i etyczna niechaj wre i szumi, ale tu połączyć nas winien wspólny interes narodowy i wspólna ambicya. Jeżeli małostkowe swary domowe przeniesiemy na arenę wystawy, jeżeli typowa małoduszność pewnych koteryi i jednostek sieciami intryg swoich omota poznańską gościnność, to każda uroczystość świecić będzie charakterem połowiczności i dysonansem zgrzytnie ta chwila, która stać się powinna świętem braterstwa. *Sulla.*

KRONIKA LITERACKA.

Hr. Stanisław Rzewuski zamieścił w jednym z ostatnich numerów „Figara“ artykuł szerszy, poświęcony autorowi „Rodziny Połanieckich“, której tłomaczenie francuskie ukaże się w najbliższym czasie. Hr. Rzewuski doradza Francuzom, by powieść Sienkiewicza czytali, jest ona bowiem tak pełną myśli, tak doskonałą estetycznie, iż dorównywa „arcydziełom romansu rosyjskiego, nieśmiertelnym książkom Tołstoja, Dostojewskiego i Turgeniewa“. Przytoczywszy następnie szereg nazwisk wybitniejszych polskich pisarzów współczesnych, zaznacza hr. Rzewuski, że literaturze polskiej brakowało tylko genialnego pisarza, którego dzieła wzbudziłby mogły podziw całego świata cywilizowanego. „Sądzę — mowi autor — że p. Sienkiewicz stanie się takim Ibsenem lub Tołstojem polskim“. Zowie on dalej „Rodzinę Połanieckich“ jedną z wielkich książek „naszej epoki kłamstwa, złości, szarlataneryi i głupoty, gdzie piękno, sprawiedliwość i dobroć zwyciężają tak rzadko“.

* * *

Ostatnie dwa numery „T y g o d n i k a I l u s t r o w a n e g o“ przyozdabiają prace Piusa Welońskiego „Wniebowstąpienie“, Maurycego Trębacza „Marzenie“, winieta Rapackiego „Mój“, przepiękna reprodukcya z obrazu malarza włoskiego Muzzioli'ego „Święto kwiatów“, cały szereg portretów i innych drobniejszych ilustracyi. W dziale literackim, oprócz prac rozpoczętych, znajdujemy śliczny wiersz naszego poety Ely'ego (Asnyk) „Sprzeczne prądy“, Gomulickiego „Deszczyk“, korespondencyą „Z Loreto“ Wł. St. Reymonta, a wreszcie kroniki „Z tygodnia na tydzień“ Quisa i A. J. Sęka.

* * *

„L u d“, organ Towarz. ludoznawczego we Lwowie. Pięknego tego pisma, wydawanego pod redakcyą prof. dr. Kaliny, wyszedł właśnie zeszyt drugi, zawierający: połowę pracy Adolfa Strzeleckiego: „Z dziejów pierwotnej rodziny“, dalej pracę K. Matyasa „Zapust, Popielec, Wielkanoc“, dalej przegląd czasopism (nowy zeszyt niemieckiej „Zeitschrift für Volkskunde“, omówiony przez prof. Kalinę), Poszukiwania i Kwestjonarjusz, program sekcyi językowej, protokół z posiedzeń zarządu, sprawozdanie o trzeciem miesięcznem zgromadzeniu naukowem jako też o stosunkach, jakie ponawiązywało Towarz. ludoznawcze z innemi Towarzystwami i redakcyami czasopism, spis darów i wykaz nowych członków Towarzystwa, których liczba doszła już do 131. Jak widzimy z tego numeru, zarówno Towarzystwo jak i jego organ rozwijają się pięknie i rokują wielkie nadzieje zarówno dla rozbudzenia ruchu naukowego, jak i dla zbliżenia się inteligencyi naszej z ludem.

* * *

Nr. 10 lwowskiego tygodnika „M o n i t o r“ wyszedł i zawiera: Choroba biurokratyczna. — Znowu „nasz“. — Jeszcze samorząd. — Brak charakterów. — Odwrotna strona rewolucyi. — „Przełom“. — „Walka motyli“. — Pogrzeb żołnierza, (wiersz). — Fejleton: Z szarych końców“.

* * *

O wychowaniu kobiet. Berliński tygodnik „Kultura Etyczna“ podaje z listu Fryderyka II o wychowaniu kobiet, co następuje:

„Nie zadajemy sobie pracy w kształceniu rozumu u dziewcząt, pozostawiamy je bez wiadomości, nie wpajając w nie nawet poczucia cnoty i honoru, a wychowanie zwyczajne kładzie nacisk na powierzchowną przyzwoitość, na zachowanie się i ubranie. Do tego dodaje się powierzchowną znajomość muzyki, znajomość kilku komedyi i romansów, tańca i gier — i na tem kończy się już cały zakres wiadomości rodzaju żeńskiego. Bierzemy za złe Czerkiesom, jako barbarzyńcom, że obznajmiają swe córki z wszystkiemi tajemnicami zalotności, aby je potem tem drożej sprzedać mogli dla seraju w Stambule, i zwiemy to handlem niewolnicami; skoro jednak u narodu wolnego i oświeconego najpierwsi z szlachty podobnemu zwyczajowi hołdować się zdają, z pewnością nie minie ich ten sam zarzut choćby w najdalszem pokoleniu. Upadek kobiet bardziej ma źrodło w nieczynności ich życia, aniżeli w gorączce temperamentu. Bo przez dwie lub trzy godziny stoją u zwierciadła przypatrując się z upodobaniem swym wdziękom, całe popobiedzie poświęcają obmowie, potem idą do teatru, potem zasiadają do gry, do wieczerzy, znów do gry — i czy jest tu czas, by zająć się samą sobą? Nudy i obrzydzenie tego miękkiego i nieczynnego życia prowadzą je na tor innych rozrywek, choćby dla odmiany, albo dla zapoznania się z innem nowem uczuciem. Przeto kto ludzi zatrudnia, daje im sposób do ochrony od złych przywar. Dziewczyna może zajmować się robotami kobiecemi, muzyką i tańcem, ale przedewszystkiem trzeba rozbudzić jej umysł i wpoić w nią zamiłowanie szlachetnych czynów. Oburzony byłem, widząc do jakiego stopnia lekceważą w Europie tę połowę rodzaju ludzkiego, zaniedbując wszystkiego, co kształci rozum. Mamy przecież kobiety, które mężczyznom w niczem nie ustępują, zaś przy usilniejszem wychowaniu odniosłaby ta płeć zwycięstwo nad nami“.

* * *

Także biografia! Biografowie znakomitych ludzi zbierają starannie wszystkie najdrobniejsze szczegóły ich życia — i jest to całkiem w porządku. Ale nie jest w porządku, jeżeli biograf nie umie odróżnić plewy od ziarna, bo w takim razie obniża wrażenie, przez co robi niedźwiedzią przysługę temu, którego uwielbia za życia czy po śmierci.

Takiego niebezpiecznego wielbiciela miał Matejko w osobie swego sekretarza, p. Maryana Gorzkowskiego. Ileż to razy budził on niesmak swojemi objaśnieniami, wyjaśnieniami, tłomaczeniami obrazów i czynów wielkiego mistrza naszej sztuki.

Umarł Matejko, a p. Gorzkowski znów o nim pisze. I dobrze robi, jeżeli zbiera daty do jego życiorysu i szczegóły do obrazu jego twórczości artystycznej. Ale za co go prześladuje swojemi... naiwnościami? W broszurze p. t. „Jan Matejko, epoka lat jego najmłodszych“, p. Maryan tak głęboko wnika w życie Matejki, że opisuje nawet jego lata niemowlęce. „Jako maleńko dziecko — są słowa p. Maryana — z trudnością i bardzo powoli nabywał mowy, najczęściej milczał, a pierwsze wyrazy, które w ustach dziecięcia powstały, a które najchętniej i z pewną łatwością do ludzi wymawiał, były: pany, baty, konie, wio“.

Pomijam całą śmieszność takich szczegółów, bo chyba nie ma bębna na świecie, któryby zaraz po mama i tata nie mówił caca, papa, pan, wio, hetta, koniki, peś, (ma być pies), ale klasycznem jest dalsze objaśnienie p. Maryana, nie wie on, „co te wyrazy w pojęciu małego dziecka znaczyły“, a ja mu mogę zaręczyć, że pany oznaczały mężczyzn, konie oznaczały zwierzęta czworonożne, używane zazwyczaj do zaprzęgu, a wio znaczyło jechać.

Pan Maryan sądzi jednak inaczej, bo się domyśla, że to było jakieś bezwiedne, jakimś może instynktem przeczute pojęcie o „artystycznem posłannictwie jego do tworzenia dziejów kraju naszego, w których panowie i szlachta na koniu w różnych potyczkach i bitwach tak wyraziście historyę kraju naszego napiętnowali“.

Nie podoba mi się, co prawda, to „napiętnowanie“, bo piętnować, to znaczy zohydzać, ale pragnąłbym jeszcze wytłomaczenia wyrazu baty. Kto wie, czy to Matejko nie przeczuwał przyszłych swych biografów, i czy nie sądził, że te instrumenty postronkowe słusznie powinny wejść w styczność z tymi, co będą pleść jak na mękach o jego latach niemowlęcych.

K. B.

* * *

Jaką powinna być kobieta? Niedawno w Wiedniu wygłosł znakomity anatom wiedeński, prof. Brühl, odczyt p. t. „Jaką powinna być kobieta?“ Profesor Brühl kończy właśnie 74 rok życia, poświęconego pracy i badaniom naukowym, czasu więc mu nie zbrakło na zdobycie niezbędnego doświadczenia, co znacznie podnosi wartość słów jego. Zaczął on od zbijania teoryi, że kobieta — już choćby z racyi słabszego działania władz umysłowych i zwojów mózgowych — nie może otrzymać wyższego wykształcenia. Zdaniem prof. Fischera w Monachium przeciętna waga mózgu mężczyzny równała się 1,350 gram., kobiety 1,250. Jakże wielkiem musiało być zdziwienie epigonów tego uczonego, gdy po jego śmierci mózg zważony dobiegł zaledwie do 1,245 gr. Prelegent twierdzi, że obowiązkiem państwa winno

być otwarcie kobietom wszelkich takich dróg, do których są one zdolne; ubolewa, iż dotąd do istniejących ośmioklasowych szkół żeńskich nie dodano dwóch kursów uzupełniających, gdzieby panienki otrzymywać mogły wyższe wykształcenie. Że kobiety dorównać są w stanie brzydszej połowie rodu ludzkiego, dowodzą choćby szkoły ludowe, w których przeciętnie dziewczynki wykazują lepsze rezultaty od chłopców; świadczy i stan kupiecki we Francyi, gdzie w rękach kobiet koncentruje się wiele ważnych i trudnych obowiązków. Cóż jednak pomogą starania mężczyzn, największych nawet przyjaciół emancypacyi kobiet, kiedy te ostatnie same najzagorzalszemi są jej wrogami. Wszak towarzystwo, mające na celu wyższe wykształcenie płci nadobnej, zdołało z wielkim trudem i mozołem w całym Wiedniu pozyskać zaledwie 284 członków. Z kolei wygłasza prof. Brühl twierdzenie, jaką kobieta być nie powinna. Zdaniem jego Ibsenowskie typy nie licują zupełnie z końcem bieżącego stulecia, a i nadto gorączkowe życie polityczne nie da się pogodzić z zaszczytnem zadaniem dobrej matki i pani ogniska domowego.

* * *

Klemens Junosza, fotografie wioskowe, Warszawa, 1895, str. 221.

I znów utalentowany nasz humorysta ze zwykłym sobie dowcipem i znajomością charakterów obdarza nas dwoma nowemi obrazkami. W pierwszym Abram Pinkt — żyd i Mateusz Sikora — chłop, porozumiawszy się z sobą, doskonałe robią interesy. Sikora poluje na zwierzynę w lasach pańskich i, o ile się da, ścina młode dębczaki — a to wszystko Abram kupuje, a raczej wyzyskuje od niego. Nawzajem służy mu za świadka, skoro chłop, zaskarżony do sądu o kradzież drzewa, miał odsiadywać karę. Po uwolnieniu za pośrednictwem żyda i jego współwyznawców, schodzą się i zaczynają wygłaszać swoje filozoficzne pod tym względem poglądy. Ukraść a wziąć, to wielka różnica — on nie wyprowadził konia ze stajni, nie rozbił cudzej skrzynki, nie wyłamał zamków, a nazywają go złodziejem! Za co? że wziął jakiś marny dąbek?... Te i tym podobne refleksye robi, idąc do gajowego Kogucińskiego względem owego dąbczaka; załatwiwszy z nim sprawę, spokojny wrócił do domu — i w istocie sprawa w sądzie w jak najlepszy dla niego zakończyła się sposób. — Cały ten obrazek, nacechowany wybornym humorem, jak wszystkie utwory Junoszy. W drugim obrazku także przedstawiony żyd, ale tu już nie z chłopem, lecz z samym dziedzicem ma do czynienia. Przebiegły żydek umie zyskać jego zaufanie i nie omieszkuje korzystać z tego przy każdej okoliczności. Pan Maciej, obywatel ziemski, właściciel ładnej, nie obdłużonej wioski, przeszedł już trzydziestkę, ale nie myśli się żenić, w czem mu dopomaga Icek, bo czuje, że wtenczas interesa jego by się pogorszyły. Wszystkie matki i ciotki, mające panny na wydaniu, polują na pana Macieja, ale on im się zręcznie wymyka. Jednakże los czy wypadek zdarza, iż ratując od niechybnej śmierci dwie nieznane mu kobiety, których konie uniósłszy, już miały wrzucić do rzeki, znajduje w młodej Helenie swój ideał i naturalnie ślubem kończy się to spotkanie, uszczęśliwiając ich oboja. Całość opowiadania wywiera, jak zawsze, dosadnością stylu i kolorytem właściwym dodatnie wrażenie.

KRONIKA POWSZECHNA.

Wiadomości społeczne i polityczne Na wystawie przemysłowej w Poznaniu trwa w dalszym ciągu kłucie Polaków niemieckiemi szpilkami. W najświeższym czasie rozkazano w jednej z winiarni polskich zdjąć biało-czerwone chorągiewki, lubo kolor ten stanowi barwę prowincyonalną. — Strejk robotników mularskich w Lipsku zbliża się ku końcowi. Znaczna część pracodawców zgodziła się na podwyższenie płacy robotnikom. — Emigrowało z Niemiec za morze w pierwszych trzech miesiącach r. b. 5728 osób, a mianowicie z prowincyi hanowerskiej 579, z Bawaryi 497, z Brandenburgii 424, z W. Ks. Poznańskiego 412, z Szlezwiku i Holsztynu 356, z Prus Zachodnich 311, ze Wyrtembergii 298, z Pomorza 284, z królestwa saskiego 281, z prowincyi nadreńskiej 270, z Palatynatu 239, z prowincyi heskiej 185, z Westfalii 180, z Badenii 166, z Oldenburgii 130, ze Szląska 117, z prowincyi saskiej 115, z Prus Wschodnich 92, z w. ks. heskiego 91, z Meklemburgii 65. Z innych dzielnic liczba wychodźców jeszcze jest mniejsza. Wogóle zmniejsza się emigracya od lat kilku stale, co stoi prawdopodobnie w związku z pogarszającemi się stosunkami w Stanach Zjednoczonych.

Zjazdy i kongresy. Ogólny zjazd Przemysłowców polskich zaboru pruskiego odbędzie się 14 i 15 lipca r. b.

Teatr i muzyka. Poznańskie towarzystwo dramatyczne bawiło w bieżącym tygodniu w Pleszewie. W poniedziałek wyjeżdża trupa nasza do Ostrowa. — Helena Modrzejewska wystąpiła na scenie krakowskiej w dramacie Okońskiego „Niewinni“. Słynna artystka rozpoczyna 15 b. m. gościnne występy na scenie lwowskiej, a w jesieni udaje się do Ameryki. — Teatr zimowy w Lublinie wydzierżawił aktor prowincyonalny p. Feliński. — Piszą z Paryża: W hotelu państwa Władysławowstwa Górskich, przy ulicy Siam, odbył się wielki raut, na którym zebrało się wiele osób z arystokratycznego i artystycznego towarzystwa paryskiego. Zaznaczamy nowy tryumf młodego muzyka p. Augusta Radwana, odniesiony na tem zebraniu. Paderewski, król absolutny fortepianu, usiadł wraz z młodym artystą — jako akompaniator. To samo jest już dla pana Radwana wieńcem. Grali koncert Paderewskiego, po skończeniu którego, kompozytor wstał wzruszony i uściskał serdecznie młodego towarzysza, podczas gdy sala grzmiała od frenetycznych oklasków. — Na scenie teatru „Nowosti“ w Warszawie wystawiono przeróbkę z niemieckiego p. t. „Nasz doktorek“. Efektowny melodramat zyskał sobie wielkie powodzenie. Paryski „Figaro“ donosi, że w Paryżu zawiązał się komitet, złożony z najwybitniejszych przedstawicieli świata artystycznego i literackiego, celem wystawienia pomnika Fryderykowi Szopenowi. Pomnik ma stanąć w jednem z najwybitniejszych miejsc Paryża, w parku Monceau, wśród zieleni i kwiatów. Siedzibą komitetu jest Grand-Hôtel, a składki przyjmuje „Crédit Lyonnais“ i jego filie.

Wystawy. W Pradze otwarto 15 z. m. wystawę etnograficzną czesko-słowiańską. — W Amsterdamie urządzono wystawę przemysłową. — W Paryżu zapowiedziano otwarcie międzynarodowej wystawy litograficznej na 25 sierpnia. — W Brukseli otwartą została w maju międzynarodowa wystawa konserwów spożywczych. — W Wiedniu urządzono wystawę włoską ze szczególnem uwzględnieniem przemysłu jedwabnego. — Według sprawozdania obecnie ogłoszonego, zeszłoroczna wystawa w Antwerpii przyniosła czystego dochodu 285,166 franków. — Ogrodnicza wystawa w Magdeburgu otwartą zostanie 29 sierpnia, a wystawa mleczarska w Lubece 6 września. — Wojna nie przeszkodziła japończykom w wystawie przemysłowej w Kioto, która wypadła świetnie. — W Berlinie odbyła się wystawa bydła opasowego. W Paryżu urządzono wystawę historyczno-wojskową z czasów rewolucyi i pierwszego cesarstwa.

*** Kule z aluminium**. Pewien przemysłowiec z okolic Belfortu (Francya) sprzedał rządowi angielskiemu znaczną ilość kul aluminiowych swego wynalazku. Takie kule, wraz z odpowiednią bronią, będą rozdawane wojsku i policyi do tłumienia ulicznych zamieszek, strejków i t. d. Wiadomo, iż aluminium jest najlżejszym z metalów. Kule przeznaczone są zatem ku trzymaniu na pewnej odległości burzycieli porządku publicznego bez krwi rozlewu. Wprawdzie te kule na przestrzeni 100 metrów będą zadawały rany, ale daleko lżejsze od kul ołowianych, a pocisk już jest niewinnym na odległość 200 metrów. Podobno i rząd francuski zamierza korzystać z tego wynalazku.

* Okropność co ci Polacy w państwie pruskiem wyprawiają. Straszne rzeczy w „Zukunft“, opowiada prof. Herkner o ich sile żywotnej (Zahllebigkeit).

W całem państwie pruskiem znajduje się tylko ośmiu starców, liczących wyżej nad sto lat, a pomiędzy nimi aż pięciu Polaków! To jeszcze nic, ale na 59 żyjących w tym wieku niewiast, znajduje się aż 45 Polek. Najwyraźniej chcą dokuczyć Niemcom!

„Intryga polska“ sięga jednak i głębiej i dalej. Według wykazów statystycznych, na sto małżeństw niemieckich w państwie pruskiem wypada 435 dzieci, a na sto małżeństw polskich 524 dzieci. Co tu począć z tymi „intrygantami“ i z temi „intrygantkami!“

Dajmy wyraz współczucia boleści prof. Herknera i jeszcze większej zapewne boleści ks. Bismarcka, jeżeli prenumeruje „Zukunft“, lub gratis pismo to odbiera.

* W „Kuryerze Warszawskim“ znajdujemy następującą dowcipną satyrę:

Posprzeczali się okrutnie
Z Panem boski raz Apollo.
Muz przywódca i bóg słońca
Twierdził słusznie, że na lirze
Gra — najwyższą z gier tej ziemi.
Pan zaś, fletnię sporządziwszy,
Co ją Syrinx ludzie zwali,
Na pamiątkę nimfy owej,
Którą w trzcinę zamieniono
Za to, że się opierała
Bożkom w sprośnych ich zapałach —
Pan zaś, wziąwszy fletnię ową,
Jął wysławiać jej zalety.
Wziął Apollo lirę swoją,
Wziął Pan także swoją fletnię
I do Lidji poszli obaj,
Gdzie królował wówczas Midas,
Znawca wielki i meloman.
A przyszedłszy do Midasa,
Rzekli: „Królu! Nie od dzisiaj
Słyniesz w świecie jako znawca,
Jako krytyk pierwszej wody,
Więc nas rozsądź! Powiedz, czyja
Gra jest wyższa, lepsza, czystsza,
Czyja źródłem jest rozkoszy
Większych, lepszych i podniosłych?“
Midas ręką skinął. Lirę
Wziął Apollo w palce jasne
I grał długo, a tak pięknie,
Że motyle, zdjęte czarem,
O swych różach zapomniały.
Potem zasię Pan swą fletnię
Wziął i wygrał na niej parę
Kawałeczków melodyjnych
Jędrnie, żwawo i poprawnie.
Midas myślał długo, wreszcie
Sądu swego odkrył tajnię,
Mówiąc: „Palmę masz zwycięstwa,
Miły Panie, gra twa — wyższą
Jest nad gędźbę Apollina“.
Westchnął ciężko bóg Apollo,
Do Jowisza z skargą poszedł
I uprosił, aby Midas,
Jak oznakę honorową,
Ośle uszy dostał w darze
Za krytyczne swoje sądy...

N...i.

Zmarli:

Ks. Paweł Broglie, filantrop i pisarz religijny, zm. zastrzelony w Paryżu 11 zm.

Maksymilian Menz, malarz historyczny niemiecki, zm. w Monachium w początkach maja.

BIBLIOGRAFIA.

Fr. Rawita Gawroński. Kartki z historyi szkolnictwa pod zaborem Rosyi. Lwów, 1895.

Jan Łada. Pastele. Lwów, 1895.

Antoni Godziemba Wysocki. Przez kłamstwo do szczęścia. Lwów, 1895.

Marya hr. Hagenowa (Alces). Szalone serca. Lwów, 1895. (Powieść).

Odpowiedzi Redakcyi.

X. X. W wierszu nadesłanym są piękne i silne ustępy, ale miejscami rażą błędy w składni i nie dość artystyczna „robota“. Prosimy o adres dla bliższego porozumienia w celu dokonania odpowiedniej korekty.

Dawny kleryk. Jest to nowa próbka nieuczciwości „Kuryera Pozn.“ My zamieszczając zdanie Chmielowskiego o Kościelskim, dołączyliśmy komentarz, że na opinję znakomitego krytyka godzić się bezwzględnie nie możemy. Uważając p. Kościelskiego za utalentowanego poetę, przekonaniu temu daliśmy wyraz odpowiedni. „Kuryer Pozn.“ upatruje niechęć stronniczą w powtórzeniu artykułu Chmielowskiego w „Przeglądzie Pozn.“, a o końcowem zastrzeżeniu naszem nie wspomina ani jednem słowem. Zaiste! taktyka godna organu duchowieństwa, stróża religii i katechizmu.

N. N. Gniewa się Szanowny Pan, że nie zamieściliśmy nadesłanej satyry, i wzywa nas, aby napiętnować odpowiednio idyotyczną napaść „Kuryera Pozn.“ na pismo nasze. Z wskazówek Szanownego Pana i tym razem skorzystać nie możemy, bo przecież „Kuryer Pozn.“ stał się od pewnego czasu zbiornikiem takich dziwolągów, że na polemikę szkoda czasu i atłasu. Przed niedawnym czasem wypowiedział redaktor pisma naszego w dłuższym artykule opinje swoje o lojalno-klerykalnym dzienniku i na mocy przytoczonych dowodów rzucił tak jaskrawe światło na etykę „organu duchowieństwa“, że dziś już chyba powiedzieć można słowami Marcella z „Quo vadis“: Peractum est!“ Tak wołał lud rzymski, gdy jeden z gladjatorów otrzymał takie uderzenie, że nie potrzebował dobicia. Zresztą niech pana nie dziwią te bezgraniczne nonsensa, które wystawowo-teatralny reporter „Kuryera“ w polemice z nami popisał. Tego chłopczyka odsadzono dopiero niedawno od piersi i zamiast dać mu konika i trąbkę zrobiono go współredaktorem „Kuryera“. Niech Pan zatem raczy swój animusz wojenny skierować w inną stronę, bo zaszczytną nie jest rola Heroda, urządzającego rzeź niewiniątek.

Od Administracyi.

Zapytujemy niniejszem, czyby który z Czytelników naszych nie był łaskaw odstąpić nam numerów: 4, 16, 19, 20, 23, 27, 31 i 36 „Przeglądu Poznańskiego“ z roku 1894; prosimy w danym razie o podanie warunków.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Roman Przyborowicz z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.